TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 40. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 18/30 czerwca 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Święty Walenty, przywracający wzrok niewidomėj. rzeźba Syrewicza (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa.—Ks. Jędrzej Kitowicz (dokończenie).—Kronika sztuk pięknych.—Ubiory włościan i krzyże na Żmudzi (z ośmią drzeworytami). — Obrazy wielkopolskie.— Przegląd piśmienniczy.—Odezwa w kwestyi kobiét.—Zbroja Jana III i chorągiew turecka, przez króla tego pod Wiedniem zdobyta (z dwoma drzeworytami.) — Szachy. — Rebus. — Ruch dziennikarski w Galicyi (dokończenie). — Dwa westchnienia, obrazek przez anonima (dokończenie).— Doniesienia.

Św. Walenty przywracający wzrok niewidomėj.

(Rzeźba Bolesława Syrewicza).

Załączona tu w drzeworycie gruppa przedstawia św. Walentego, przywracającego wzrok niewidomėj córce Aesteryusza, dworzanina cesarza rzymskiego Klaudyusza, dzieło młodego ucznia warszawskiéj szkoły sztuk pięknych, p. Bolesława Syrewicza, przebywającego obecnie w Monachium. Gruppa ta, wykonana dziś w modelu z gliny, niebawem zostanie wyciosaną z kamienia; miéć będzie 6 stóp wysokości, nie licząc platy, i ma być ustawioną na piedestale w mieście Kutnie, przed tamecznym szpitalem św. Walentego.

Obok niezwykłych (o ile wnosić możemy z nadesłanéj nam fotografii) zalet technicznych, rzeźba ta odznacza się poetycznością pomysłu. Święty, przytknięciem prawéj ręki do czoła niewidomėj, przywraca jéj wzrok, trzymając w ręce lewéj krzyż, godło chrześciaństwa. Córka Aesteryusza klęczy przed nim w takiéj postawie, że piérwszym przedmiotem na który po przejrzeniu wzrok jéj natrafia, jest wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela. Widok ten wstrząsa tak silnie umysłem cudownie uzdrowionéj, że wyrzeka się błędu i przyjmuje wiarę chrześciańską.

Do tego pobieżnego opisu samego dzieła, którego zalet szczegółowych w drzeworycie oddać niepodobna, dołączamy krótką wiadomość o jego twórcy.

Bolesław Syrewicz kształcił się pierwiastkowo w warszawskiéj szkole sztuk pięknych, i ukończywszy w niéj cztéry kursa, wsparty pomocą życzliwych mu osób, udał się za granicę, dla dalszego doskonalenia się w rzeźbiarstwie. Przybywszy do Berlina, oddał się pod kierunek Fischera, professora tamecznéj akademii, następcy słynnego Raucha. Pod tak znakomitym przewodnikiem, młody artysta z zapałem poświęcał się pracy, i wkrótce zadziwiające w swéj sztuce uczynił postępy, czego dowodem kolosalna statua *Juliusza Cezara*, przesłana w tym czasie na warszawską wystawę sztuk pięknych, którą znawcy pochlebnie bardzo ocenili.



ŚW. WALENTY PRZYWRACAJĄCY WZROK NIEWIDOMÉJ.
(Podług fotografii z Monachium nadesłanéj.)

Zachęcony pochwałami ziomków i pragnąc coraz bardziéj na nie zasługiwać, Syrewicz udał się do Monachium, gdzie okazawszy dowody swego talentu, przyjęty został do akademii sztuk pięknych, rzecz nie tak łatwa, szczególniéj dla cudzoziemca.

Mamy nadzieję i życzymy z serca młodemu artyście, ażeby nie ustając w pracy, pomnożył z czasem szczupłe grono znakomitych rzeźbiarzy naszych: Oleszczyńskich, Sosnowskich, Stattlerów, jedném więcéj imieniem.

Kronika tygodniowa.

Szkoda cię, o piękne kwiatowe święto, dniu wianków uroczysty, że w coraz większą zapadasz niepamięć. Czy to dlatego że, jak Kuryer Warszawski powiada, wianki panien warszawskich z samych tylko *stokroci* i *tysiączników* winny być uwite, żeby zwabiały za sobą młodzież, niewiem, ale to pewna, że z każdym rokiem świętojańska ta pamiątka mniéj licznie jest obchodzoną. Ludek jeszcze się trzyma, bo on ostatni od zwyczajów przodków odstępuje, ale krynolinowe damy oddawna już zaniechały powierzania nurtom Wisły tego symbolu wdzięków niewinnych.

Czyżby to wianków zbrakło, czy téż panien w Polsce? w téj Polsce, w któréj, podług wspomnienia o napadzie tatarskim przez hr. Przezdzieckiego przed kilką laty w Bibliotece Warszawskiéj umieszczonego, barbarzyńcy ci 60,000 dziewic naraz jednego roku uprowadzili. Tak jest 60,000. Na panny była tu zawsze gleba urodzajna, a teraz więcéj jeszcze niż kiedykolwiek, bo mniéj ich ubywa, i to w tym stopniu nawet, że już zwąt-

piły o skutku i lękają się puszczać na niepewne swoje wianki, żeby osamotnione nie popłynęły szukać szczęścia u mieszczan gdańskich, kiedy warszawscy tak stronią od małżeństwa.

Bądź co bądź, to pewna, że od czasu utworzenia pięknego i okazałego nowego-zjazdu do Wisły, wianki poczęły być coraz mniéj liczne. Czyżby ta wązka ciemna i zaduszona Bednarska ulica posiadała wyłączny przywilej zwabiać do siebie publiczność wystrojoną? Bądź jak bądź, i ta ulica obecnie również opustoszała. Dawniéj sznur powozów rozciągał się przed nią, teraz zaledwie jedna albo dwie dorożki stoją. Na moście mężczyzn mnóstwo, dam daleko mniéj, zwłaszcza dam kapeluszowych. Tylko cechy rzemieślnicze warszawskie nie zaniechały jeszcze dawnego zwyczaju puszczania nurtem Wisły olbrzymich wianków z godłami, do jakich należą ci co je sporządzili. Może za urządzeniem nowego mostu, około którego roboty szybko bardzo postępują, zmieni się to jeszcze. To pewna, że tym razem większa część spacerujących zwracała swe kroki na Pragę, żeby się zblizka przypatrzéć olbrzymim palom, wbijanym pod tymczasowy most drewniany. I ci którzy tam byli, widzieli choć zdaleka przybycie pociągu wagonów na kolei żelaznéj petersburgsko-warszawskiéj, który już zdaleka obwieszczał się swoim zwykłym świstem, hukiem i dymem. Ten most więc, raz stanąwszy, zamieni się w ludną bardzo ulicę, która będzie kiedyś jedną z głównych przechadzek warszawskich. Słyszeliśmy iż stanął już projekt budowania na Pradze wielkiego hotelu, i myśl to bardzo praktyczna. Place tam drożeją z każdym dniem, i ci którzy cierpliwie wyczekiwać będą, mogą majątki porobić. Podobno to w tych czasach najlepsza pieniężna spekulacya, bo nawet znam takich, którzy kupiwszy przed kilką laty większe place przy mniéj zaludnionych ulicach, potém cząstkowo odprzedawali je, a sprzedaż jednéj z takich cząstek przyniosła im nieraz od razu tyle, ile zapłacili za całość.

Mieliśmy w tych czasach sposobność rozmawiać z jednym ze znamienitych tutejszych technologów, który ubolewał nad zaślepieniem majętnych mieszkańcow kraju naszego. Dziwna, mówił mi on, istnieje w nich mania naśladownictwa i oglądania się na drugich, dowodząca bojaźliwości i braku zaufania we własnych siłach. Każdy chce żeby inny za niego naprzód wypróbował. Puszczają się tu tylko na takie przedsiębierstwa, które już są ogólnie eksploatowane, a tém samém mniéj mogą zapewnić zysków, czasem zaś zgoła straty przynoszą tylko. To co drugi ma w ręku, wydaje nam się miną złota, zazdrościmy mu zysków i wchodzimy mu w drogę, często tym sposobem i siebie i jego na straty narażając.

I wyliczył mi kilka przedsiębierstw nietkniętych tu jeszcze, a jednak bardzo zyskownych, z których zagraniczni się bogacą.

— To jest, mówił on mnie, jeden z głównyeh powodów, dla którego pieniądze z kraju wychodzą, i dlatego skarżymy się na ubóstwo.

— Dlaczegóż, zapytałem, nie udasz się z tém do jednego z ludzi majętnych. Nie wątpię żebyś go przekonał, zwłaszcza że, jak mówisz, niektóre z tych zakładów przemysłowych względnie małych bardzo potrzebują nakładów, a wielkie zyski mogą przynieść?

— I na co się to zda? odpowiedział mi. Alboż ja ich nie znam. Każą mi Bóg wié jaką podejmować robotę, robić plany, anszlagi, a potém pokiwają głową i odłożą na późniéj, to jest na nigdy. A ja nie mam czasu na to. Niech zaś kto inny, śmielszy ukaże się i rozpocznie to samo, zaraz wszyscy rzucą się do tego i zepsują interes. Jak im w nowém przedsiębierstwie sto na sto od razu nie okazać, to już sądzą że to bankructwo; a jednak nie będą żałowali pieniędzy na założenie cukrowni, która często i zwykłego, koniecznego nie przyniesie procentu. Toć był czas że kraj cały rzucił się do gorzelni, chociaż wszyscy na nich tracili. Teraz ich mniéj daleko, a jednak nie świetnie stoją.

Nie moja wina że za każdym razem zajmować was muszę muzyką, ale tak mi ona ciągle brzmi w uszach, że nie mogę się od niéj opędzić. W ubiegłym tygodniu znowu było parę koncertów, a w dolinie szwajcarskiéj orkiestra Bilsego wykonała z wielkiém zadowoleniem publiczności symfonią Spohra pod tytułem *Uświęcenie dźwięków*. Nie uwłaczam ani znakomitemu kompozytorowi, ani wybornéj egzekucyi, ale jako profan wyznam wam w wielkiéj tajemnicy, że dziwnemi wydają mi się tytuły osobnych części téj symfonii, mających niby to wyrażać różne okresy i przejścia. Bo przysięgam na Paganiniego, że jak na mnie, to *walka żywiołów* i *pieśń zwycięzców* jeden i ten sam sprawiają skutek, a nie mogę wcale rozróżnić *dźwięków naturalnych* od *modlitwy dziękczynnéj* a nawet od *łzy pociechy*. Dobrze więc że drukowane rozdają programata, bo inaczéj ani rusz, zagubićby się można w tym ogromie. Ładne to bardzo, ale żeby znowu każda część miała mi uplastyczniać jednę scenę z wielkiego dramatu natury, temu formalnie zaprzeczam. Nic wiem nawet czy owo sławne przekleństwo z Łucyi, gdyby inne zupełnie słowa pod nie dorobić, wydałoby się mniéj piękném. Wszakże pod całe opery zupełnie inne teksta dorabiano, i szło to jakoś. Wprawdzie obecnie Niemcom przewróciła w głowach owa sławna muzyka przyszłości, ale tam u nich teraz ogólny zamęt, więc niedziwno że i z muzyką toż samo się dzieje. Czekam tylko niecierpliwie, aż przyjdzie nam ztamtąd nowa symfonia, określająca zjazd w Baden i rozmowy na nim odbywające się: klarynet będzie odgłosem pokoju, trąba, jak zwykle, hasłem bojowém, basetla pogróżką, a harfa już chyba *entente cordiale*, bo to na nią tak wypada. Jak zaś zagrzmią na tołumbasie, to od razu zrozumiemy, że w Anglii nowe budują się okręty i brzegi morskie zbroją, a wtenczas lada katarynka z organkami przypomni nam Włochy i będziemy wybornie zainformowani o wszystkiém. Doprawdy, na co tu trzymać gazety i trudzić się czytaniem? niechaj obchodzą po domach muzycy, zagrają jaką fantazyą, i dość na tém, zwłaszcza jeżeli do fantazyi dodadzą się waryacye, które depesze telegraficzne mogą stanowić. Nowy to pomysł, i wartoby go zużytkować.

Teraz Warszawa naprawdę już pustoszeje; goście się rozjechali, wszystko wynosi się z miasta, sielanka zakrólowała. Jeszcze można powiedzieć ostatnie większe zebranie miało miejsce w ogrodzie Saskim, podczas loteryi fantowéj na dochód ubogich wyznania ewangelickiego, ale i to zebranie nawet o własnych odbyło się siłach; gości tam zawarszawskich, tak zwanéj czerwcowéj publiczności, trudno było dojrzéć. Pomimo tego pieniędzy zebrało się niemało, bo i fanty były bardzo ładne, i przegrywającym rozdawano bukiety na pociechę. Gdybym był niedyskretnym, opisałbym scenę która miała miejsce już o zmroku koło bramy od ulicy Żabiéj. Ale wolę zamilczéć, tak jak ów młody człowiek, co tak zręcznie przez kłaby zmykał, że aż się pozostał po nim fant zaczepiony na krzaku.

Inny wypadek miał miejsce w tych dniach na placu teatralnym. Powóz jakiś, lecąc w całym pędzie, przewrócił chłopaka idącego z dzbankiem napełnionym wodą i konie po nim przeszły, stratowawszy go i poraniwszy; szczęście że koło go ominęło. Nie wspomniałbym o tém, bo to rzecz zwyczajna, takich wypadków kilka corok zdarza się w Warszawie; ale mnie uderzyło to, że dwie młode damy siedzące w powozie widziały cały wypadek, bo wychyliły głowy, i nie dały żadnego znaku pożałowania, nie zatrzymały stangreta, który owszem jechał coraz prędzéj i umknął przed goniącemi. A jednak zdaje się że te damy nie były narażone na policyjną odpowiedzialność za wypadek, który miał miejsce wyłącznie z nieoględności powożącego; obowiązkiem zaś ich było dowiedzieć się o stanie poranionego chłopca i wesprzéć go jakim datkiem na kuracyą. Nie poznałbym ani dam, ani powozu, ani koni, bo tylko mignęły mi się w oczach, ale to pewna, że wypadek ten smutne bardzo uczynił na mnie wrażenie, a smutniejsze jeszcze na zebranym narodzie, który i tak niebardzo jest pochopny do wierzenia w jedwabną i koronkową dobroczynność, co mu się przesuwa przed oczami. Pewny jestem że to wyjątek tylko, szkoda jednak że tak bijący w oczy.

Z ogłoszenia Juliana Kossaka o sfałszowanym podpisie na obrazie nie przez niego zrobionym, dowiadujemy się że winniśmy się wystrzegać jeszcze jednego, nowego rodzaju przemysłu, który możnaby wprost nazwać kradzieżą artystyczną. Tém więcéj to naganne, że stan artystów u nas wcale się nie polepsza, owszem można powiedzieć że coraz mniéj mają roboty zamówionéj, a sprzedaż idzie bardzo tępo. Dawno już nie pisaliśmy o wystawie malarskiéj; ale i tam postać rzeczy się nie zmieniła: mało osób ją zwidza, a zaledwie parę obrazków odchodzi w miesiąc. W takich okolicznościach niepodobna kosztów opędzić. Smutném jest powiedzieć, że liczny w tym roku zjazd czerwcowy nie wywarł żadnego wpływu na pomnożenie dochodów z wystawy. Pustki były i są; a przecież choćby dlatego tylko, że wystawa znajduje się po drodze do sklepów z nowościami i strojami, można było o nią zawadzić. Wszakże obrazek nie jest tam nieraz droższy od chustki obszytéj koronkami, albo od kapelusza panama cienkiego gatunku, nie mówiąc już o dobrowolnych składkach na uroczysty widok objeżdżania jednego konia po szrankach, za któreby większa część wystawy dała się zakupić. Ale co tu gadać? Ci którzy powinniby być u nas z prawa opiekunami malarstwa, siedzą jak *malowani*, i ani sami znaku życia nie dadzą, ani innych nie zachęcą. Smutna zaiste dola!

Oto nowy list do mnie:

„*Panie kronikarzu!* Donoszę ci o nowym rodzaju nadużycia, jakie w tych dniach widziałem. W wędrówkach moich miejskich, na jednéj z głównych ulic, spotkałem rozpościerający się wielkiemi literami przez całą długość domu szyld w niemieckim języku, u spodu zaś drzwi wchodowych nieznacznie, na kilko-calowéj przestrzeni, drobny napis polski, a jako pendant z drugiéj strony takiż sam hebrajski. Zdawałoby się z tego szyldu, że Warszawa przez samych Niemców jest zamieszkała, i że ta niemiecka większość robi tylko ustępstwo dla drobnéj części ludności używającéj polskiego i hebrajskiego języka. Racz donieść o tém w swojéj kronice, niechaj publiczność wie o wprowadzeniu tego nowego rodzaju wykazu statystycznego ludności tutejszéj.“

Cóż na to począć, kochany panie? Niejedno takie nadużycie widzieliśmy na własne oczy i podnosiliśmy głos, ale głos nasz zagłuszały zawsze dźwięki muzyki z bawarskich ogródków. Oj te ogródki!

Komedya *Po naszemu*, przedstawiona w teatrze Rozmaitości, pomimo gorąca licznych zwabia słuchaczów. Pan Panczykowski wyborny w roli starego wachmistrza, i pan Świeszewski dobrém bardzo schwyceniem typu anglomana, silnie wsparli autora, który na tym piérwszym kroku stawianym na scenie potrzebuje pobłażania tak publiczności jak i krytyki. Początkowe powodzenie dobrém jest bodźcem do dalszéj pracy dla tych, którzy pojmują autorstwo jako obowiązek, a nie jako zabawkę, a sądzimy że p. Józefowicz dalszemi wystąpieniami usprawiedliwi pokładane w nim nadzieje.

Deotyma otrzymała w tych dniach przez pośrednictwo księżniczki J. C., przybyłéj świeżo z Paryża, piękny dowód współczucia od wielbicieli jéj talentu. Jest to bransoletka odznaczająca się jako wyrób, a pomysłem i gustem przypominająca roboty pana Froment Meurice, tego czarodzieja salonowych cacek.

Cóż więcéj wam powiem? Oto że pan Prażmowski pojechał do Hiszpanii, śledzić tam zaćmione słońce, a u nas podobno pokazuje się także od kilku dni kometa.

Ks. Jędrzej Kitowicz.

(Dokończenie).

Kitowicz nie wypuszczał pióra z ręki do samego zgonu. W ustroniu, oddalony od gwaru światowego, który go tyle niegdyś zajmował, pracował, wykończał swoje pamiętniki, przepisywał ulotne a zastosowane do chwilowych okoliczności wierszyki i pisma, i rozsyłał je przyjaciołom i znajomym. W sześćdziesiątym roku życia zaczął myśléć o uporządkowaniu swoich rękopisów i przygotował do nich następną przedmowę, która z autografu Kitowicza w całości podajemy.

„Pospolicie niemal każdy, zaczynający czytać jaką książkę, ciekawym jest wiedzieć autora, a to dlatego, żeby z charakteru jego mógł sądzić o dziele. Lecz ta próba niekoniecznie jest pewna. Widziały wieki dawniejsze, i mój wiek napatrzył się bardzo wiele u ludzi urodzeniem i godnością wielkich, mających umysł zaprzątniony zdaniami nikczemnemi, fraszkami, bajkami, szalbierstwami i podłemi pochlebstwami, którzy w pismach swoich, potomności zostawionych, albo szukali dla imienia swego zalety, albo komu pochlebiali, albo się płodem rozumów swoich, jak matki dzieckiem, delektowali. Bywali przeciwnie i są ludzie, z między gminu pospolitego nic niewyniesieni, dlatego też nieznaczni. Tém przyrównaniem chcę

ostrzedz czytelnika mego, że więcéj powinien wierzyć takiemu pisarzowi, który rzeczy jakie pierworodnie pisze, na które własnemi oczami patrzał, lub od ludzi wiary godnych zaraz po zdarzeniu ich słyszał, niż temu, który je z drugiego przepisuje, albo co w sto lat jaką historyą pisze, albo mieszkając w Ameryce, pisze kroniki państwa jakiego europejskiego. Bo na przykład, gdyby admirał okrętowy wydał sztukę wożenia karétą, który bicza w ręku nie miał, i takąż sztukę opisał jaki człowiek, który na koźle osiwiał, zapewne prędzéjbyśmy się skłonili do sztuki tego drugiego, niż do admiralskiéj, chociażby ten drugi nie był stangretem królewskim, ale tylko fiakrem, albo woźnicą bernardyńskim.

„Z takowéj uwagi, czyniąc zadosyć czytelnikowi memu, donoszę mu, iż jestem rodowity Polak. Prosto ze szkół udawszy się w dworską służbę, potém do konfederacyi krajowéj, a nakoniec do stanu duchownego, niemal całe życie na publice strawiwszy, i zawsze między ludźmi najpiérwszemi w kraju mieszczący się, wszystko com w tych pamiętnikach napisał, albom oczami własnemi na to patrzał, albo z ust bardzo wiary godnych nieodwłocznie słyszał, a w wielu okolicznościach samem się znajdował; przeto pismu memu wiara, bez bojaźni zawodu, może być dana.

„Miejscem i czasem bliższy swego dzieła pisarz, powinien być przeniesiony nad dalszego.

„Kto szuka prawdy, ten ją znajdzie; kto szuka wdzięku stylu i powabnego rzeczy układu, przepraszam, tego u siebie nie mam: albowiem przez większą połowę życia mego, rozmaite z miejsca na miejsce odprawując przenosiny, nie miałem czasu robić pod sznur i cyrkuł peryodów; ledwo mię stać było na to, żem przypadek wydarzony krótko a węzłowato zanotował na kawałkach papiéru, chowając w jedném złożeniu, a dopiéro w r. 1788, zaś sześćdziesiątym wieku mego, zacząłem je w jednę książkę zbiérać, nie uważając ani na porządek rzeczy, ani na gładkość stylu, obawiając się, aby mię bawiącego około tych powierzchownych okras śmierć nie zaskoczyła i wszystkiego dzieła razem z życiem nie wydarła. Powtóre, kto chce w ułożeniu należytém pisać historyą, musi czekać aż dzieła staną: w biegu ich szykować nie można.

„Przyczyną piérwszą do notowania zdarzeń za życia mego było naturalne przywiązanie do dziejów albo historyi, którą, mojém zdaniem, mam za mistrzynię umysłu i oświecicielkę najprzedniejszą. Drugą, że dostało mi się czytać opisanie dziejów za Augusta II, Augusta III i teraźniejszego (Stanisława Poniatowskiego), już to przez narodowych pisarzów, już to przez zagranicznych. Ci ichmość nietylko same dzieła opisali, ale nawet myśli i środki sprawców, któremi swoje dzieła wykonali, z taką dobitnością, jakby w sercach tych, których akcye opisali, siedzieli; ale to wszystko bardzo odmiennie od rzeczy jak się działy. Przeto będąc ja niemal wszystkich dziejów od r. 1743 aż do roku ostatniego, na którym skończę, oczywistym świadkiem, umyśliłem wydać i zostawić potomności moje pamiętniki, aby prawda zagmatwana piórami postronnych pisarzów, lub pochlebców, nie zginęła. Że zaś ja rzeczy moje tylko same opisuję jak się stały, nie przydając im żadnych ani pochwał, ani nagan, ani przyczyn z których, ani konsekwencyj dla których zaszły, przeto każdy, skombinowawszy moje pismo z innemi pismami, łatwo wyrozumié i znajdzie prawdę.

„Tę zaś nagość i skromność zachowuję tylko w opisaniu samych dziejów, gdzie piszę jako świadek: bo gdzie piszę o jakich osobach, wystawując na widok potomności ich obraz i sądząc o nich, tam piszę sądząc, nietylko świadcząc. W takiém sądzeniu wolno iść za mojém zdaniem, wolno za innem; dosyć że ja do mego takiego a nie innego sądzenia trzymałem się pobudek jaknajdoskonalszych, z czynów tychże samych osób o których piszę wziętych, oglądając się na sumienie, abym nikogo niesłusznie nie posądzał, dopieroż potomności dobrego za złego nie podawał.

„Że zaś temi czasy bardzo w modę weszło czytanie historyi, i nawet w szkołach za wielce potrzebną dają ją lekcyą, a pospolicie rzeczy wesołe i niejako igraszki lepiéj się wbijają w pamięć młodzieży szkolnéj, niż poważne i surowe: przeto zdało to mi się za rzecz niezłą, to moje dzieło przyprawić częstokroć żartobliwemi wyrażeniami; za co poważnego czytelnika przepraszam, młodemu, wesołość lubiącemu, wszystko co jest śmiesznego ofiaruję, całe zaś dzieło przypisuję wszystkim, którzy je dostaną.

„To dzieło zrobiłem nie dla samych statyków, ale dla wszelkiego gatunku ludzi, i wielkich i małych. Dlatego pokładłem w nie nietylko znaczne dzieje, ale też i małe zdarzenia, nietylko publiczne, ale też i szczególne, nietylko ziemskie rewolucye, ale też nadziemskie czyli *sublunarne*; bo nie wiem co się komu przyda, a radbym każdemu się przysłużył.

„Piérwszą książkę tych dziejów kończę z rokiem 1788, drugą zacznę z początkiem roku 1789. Jak daleko zajdę w lata, wiedzieć nie mogę; dlatego też peryodu ostatniego pisaniu memu nie zakładam: będę pisał, póki będę mógł, a w którém miejscu i czasie ustanę, ten będzie końcem pracy mojéj“(*).

W testamencie z r. 1799 o swéj pracy tak się wyraża: „Dwa rękopisy moje, jeden o obyczajach polskich, drugi historya polska, dotąd obadwa niedokończone, oddać proszę do biblioteki ichmościom księżom missyonarzom warszawskim. Liche te pisma co do stylu i składu rzeczy, zawierają jednak w sobie wiele takowych dziejów, o których żyjący dziś młodzi ludzie nie słyszeli, i których dla drobności wielcy pisarze nie dotknęli, które przecież drobiazgi, z wielkiemi dziełami zniesione, najdoskonalszy rysują obraz geniuszu rządu i maksym narodu. Dlatego warte są jakiego kącika w bibliotece.“

Rękopisma Kitowicza składały się z XII seksternów, jak się okazuje z listu księdza Sokołowskiego, wikarego w Rzeczycy, który zdawał wszystkie rzeczy po naszym historyku. Przeszły one nie podług woli autora do ks. missyonarzy, ale dostały się do księgozbioru pijarów. Wziął je ztąd ś. p. Edward Raczyński, w celu wydania drukiem, czego w większéj części dopełnił.

Pozostałe rękopisma Kitowicza podzielić można na trzy oddziały. Do piérwszego należy: *Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III.* Dzieło to, jedno z najważniejszych w gałęzi starożytności narodowych, daje najwyborniejszy obraz swego czasu, we wszystkich szczegółach życia domowego. Począwszy od kolébki dziecięcia, wchodzi do szkół, zaziera do zakątków klasztornych, biesiaduje z palestrą i towarzyszami rot pancernych i hussarskich, przedziera się do gotowalni kobiét wielkiego świata. Jest to galerya obrazów ówczesnego życia polskiego. Duchowieństwo, trybunały, studenci, wojsko, jego autoramenta i pułki, kozacy i hajdamaki, dwory i dworzanie, uczty, bankiety, potrawy, trunki i pijatyka, pałace i domy, meble i stroje, zjazdy publiczne, zapusty, kuligi, sejmy, wszystko to objął w swém dziele Kitowicz. Układ cały wybornie pomyślany i umiejętnie wykonany.

Do drugiego oddziału należą *Pamiętniki*, w których objął panowanie Augusta III i Stanisława Poniatowskiego. W piérwszym ich rozdziale sam Kitowicz mówi, że zaczął już układać swoje notaty w r. 1743, a zatem mając lat 15 wieku. Odtąd ciągle siedział i zapisywał wszystko, co tylko się zdarzyło. Było to jedynym jego celem: czy dworsko służył, czy szablą jako konfederat walczył, czy przywdziawszy suknię zakonną w spokojném zasiadł ustroniu. Pamiętniki te, bogate w mnóstwo szczegółów nieznanych, wielce rozjaśniły ten okres dziejów dotąd zaciemniony. Małych uchybień, czasem mylności podania co do zdarzeń i osób, nie można mu poczytywać za winę.

Do ostatniego oddziału policzyć należy zbiór obszerny listów Kitowicza, w liczbie około 200, w których odmalował się sam i scharakteryzował wybornie.

K. W. W.

(*) Rzecz godna uwagi, że Kitowicz w autografie niniejszym, jak i w innych listach swoich, wszędzie jotę używa podług dzisiejszéj pisowni.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MUZYKA.

Jawnuta — Koncerta Henryka Wieniawskiego.— Ostatnia uroczystość na korzyść Instytutu muzycznego.

Dla kogo dźwięki rodzinnéj muzyki mają jakieś moralne znaczenie, dla kogo pieśń nie jest prostym tylko zbiorem nut, w pewną systematyczną, melodyjną całość ujętych, lecz węzłem łączącym duszę z przeszłością narodowéj tradycyi, ogniwem spajającém serce z chwilą teraźniejszą, ten zaprawdę w nowéj pracy Moniuszki, wystawionéj poraz piérwszy 5go b. m. a skromnym tytułem sielanki ochrzczonéj, w *Jawnucie*, więcéj dopatrzy wartości duchowéj, aniżeli w niejedném o szumnéj nazwie i wystawie, zagranicznem dziele. Znany zapewne jest czytelnikom naszym piękny poemat Koźmiana *Cyganie*, napisany przed ośmdziesięcią jeszcze laty; otóż Moniuszko, naśladując w tym względzie Mireckiego, który na tle téjże saméj osnowy napisał operę i w roku 1822 na warszawskiéj ją scenie wystawił, piękny wiérsz poety odział szatą wdzięcznéj muzyki, i złożył go w ofierze współziomkom. Twórca *Halki* i *Hrabiny* nie ubiegał się tu za żadną nadzwyczajnością, natchnieniem kompozytorskiém w wysokie sfery nie sięgał, owszem prostotę i naturę obrawszy za cel swéj pracy, sądził iż tym sposobem najpewniéj trafi do serc ogółu, i nie zawiódł się w oczekiwaniu. Są chwile, w których melodya w formę gminną ujęta, więcéj na nas uczynić może wrażenia, niżeli najuczeńsze harmonijne kombinacye, milszą nam jest nad szumne i pretensyonalne obcych na polu muzyki dramatycznéj usiłowania. Dlatego *Jawnuta*, nie mierzona łokciem na wartość zagranicznych wyrobów, mając li tylko swoję wartość miejscową, długo zapewne z przyjemnością na scenie widzianą będzie, tém więcéj, że w szczegółach swoich artystycznych licznemi muzykalnemi przymiotami się zaleca. Już ośm lat z górą, jak Moniuszko do *Cyganów* muzykę napisał, przeznaczając ją pierwiastkowo dla teatru wileńskiego; następnie, rozszerzywszy nieco zakres dzieła, przymięszawszy do niego kilka piosenek Brodzińskiego, Syrokomli i Korzeniowskiego, dawszy mu skromną nazwę sielanki, na scenie naszéj je wystawił.

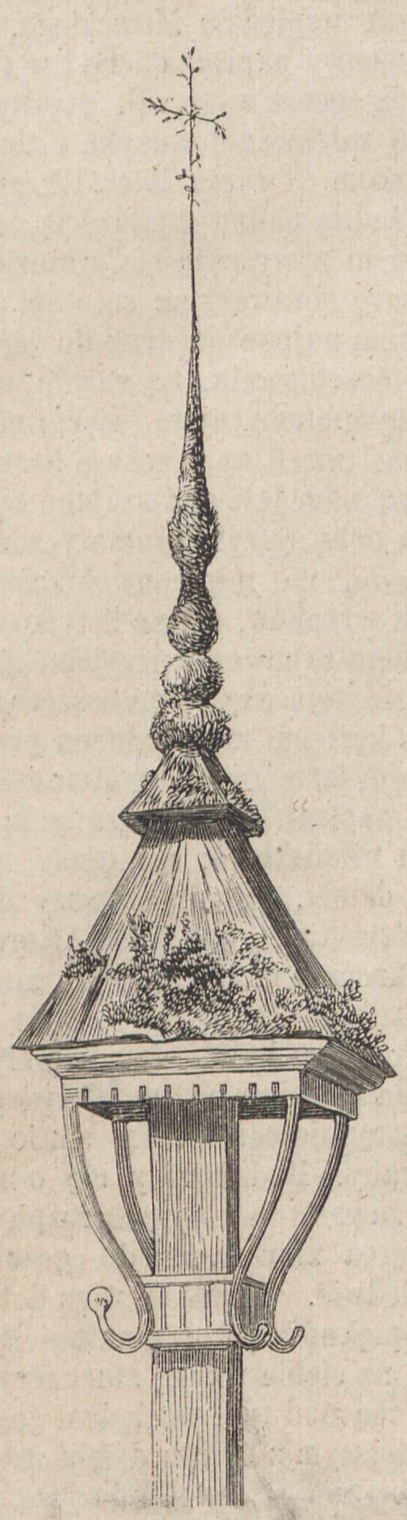
Po uwerturze, w któréj dają się słyszéć motywa mające uwydatnić dwa różne pierwiastki, cygański i kmiecy, następuje zaraz chór, silnie i energicznie instrumentowany. Radzibyśmy się o nim i o innych w tym akcie zawartych ustępach rozpisać obszerniéj, ale brak miejsca zmusza nas do ograniczenia się na wzmiance zaledwie. Również więc dotkniemy tylko i tych, które pięknością i oryginalnością swoją zwracają bardziéj na siebie uwagę słuchaczy. I tak: duet Stacha z Chichą pod tym względem jest bez wątpienia najudatniejszym z całego dzieła ustępem. Uczucie smutku rozlewające się w kończącym go krakowiaku, przejmuje wskróś duszę; w łonie biédnéj cyganki, zakochanéj w młodym, dziarskim chłopaku, od niego wzajemnie kochanéj, toczy się bolesna walka pomiędzy przywiązaniem do matki, a miłością dla Stacha. Walkę tę z dziwną dokładnością kompozytor nam odmalował; psychologiczna prawda z tak silną barwą i tak plastycznie jest tu oddana, że wsłuchując się w ten ustęp, doznajemy pewnego uczucia roskoszy, jakie tylko utwór estetycznie doskonały rozniecić jest w stanie. Do charakterystyczniejszych numerów w *Jawnucie* należy także prześliczny krakowiak w akcie drugim, powtarzany zwykle na żądanie publiczności; piosnka Chichy: „To bogactwo moje;“ cyganki wróżącéj i tańce kończące sielankę.

Widzimy tu w talencie Moniuszki niezwykłą łatwość naginania się do ducha gminnéj muzyki; umié on się w niego zagłębić zdaje się bez pracy, bez żadnego wysilenia; formę pieśni ludowéj tak dalece naśladuje, że są chwile, w których przysłuchując się jego pomysłom, zdaje ci się iż żywcem przejął je od ludu, i tylko podług wymagań artystycznego smaku obciosał.

W *Jawnucie* cecha muzyki gminnéj wydatniejszą i czyściejszą jest jak w *Halce* i *Flisie* nawet; ale gdzie jéj najwięcéj znaleźć można, to w jego *Śpiewnikach domowych*, mniéj znanych ogółowi, aniżeli na to zasługują. Ogromna szkoda że dość wysoka cena tych *śpiewników* staje na przeszkodzie upowszechnieniu ich pomiędzy miłośnikami ojczystéj sztuki. W jéj imieniu odzywamy się do pana Zawadzkiego, właściciela tych siedmiu zbiorów różnorodnych i różnoczasowych natchnień naszego poety-muzyka, ażeby znalazł środek uczynienia ich przystępnemi. Moralne ztąd korzyści obrachować się nie dadzą, o materyalnych zaś dla nakładcy, niéma co nawet mówić. Wracając jednakże do *Jawnuty*, pozostaje nam jeszcze dodać kilka słów pochwały dla artystów biorących udział w tém dziele. Najwięcéj mamy ich dla Koehlera, który jako Stach wybornym, nieporównanym jest krakowiakiem, a śpiewa tak pięknie, z takiém rzewném uczuciem, że słuchając go czujesz jak ci serce mocniéj bić poczyna.

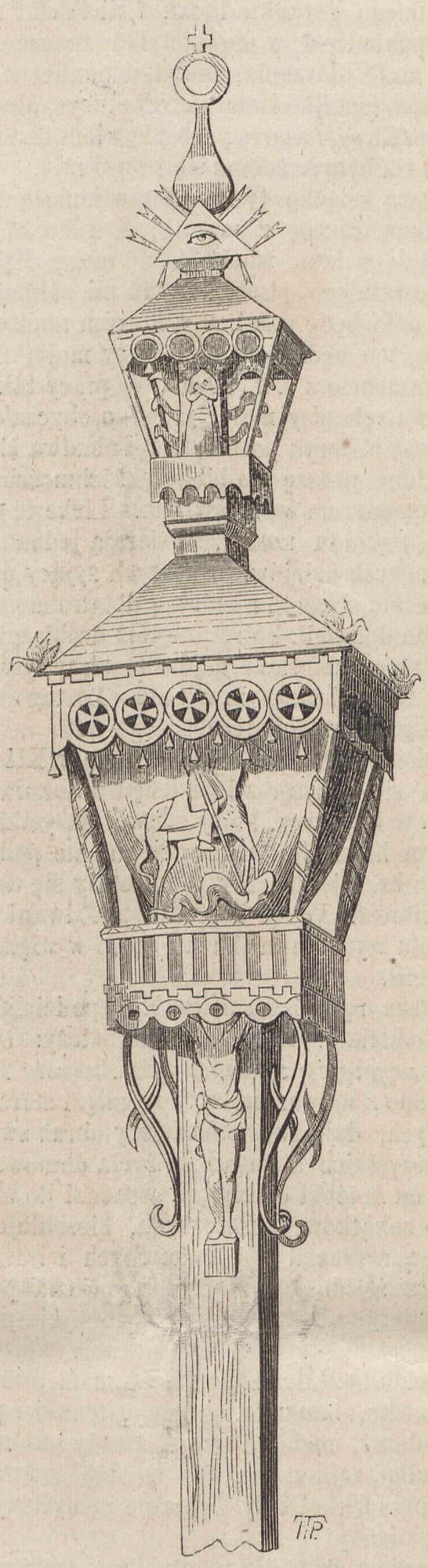
Niéma w tém nic nadzwyczajnego, że publiczność domaga się powtarzania pieśni śpiewanych przez tego artystę, bo nasłuchać ich się dosyć nie można, tyle w nich wdzięku, prostoty i natury sielskiéj.

Dla miłośników sztuki muzycznéj u nas, niezmiernie zajmującemi były wystąpienia koncertowe Henryka Wieniawskiego, jednego z najpiérwszych dzisiaj



skrzypków na świecie. Dzieckiem jeszcze będąc, w roku 1848 przybył on do Warszawy, ozdobiony piérwszą nagrodą konserwatoryum paryzkiego, zadziwiając zdumionych współziomków grą nad wiek wykształconą. Obecnie, jako dojrzały i skończony wirtuoz, w pięciu koncertach danych w gmachu teatru Wielkiego, oczarował, zachwycił słuchaczy. Posiada on wszystkie warunki stanowiące znamienitość artystyczną, a pod względem uczucia i zapału egzekucyi, nie ma sobie równego. To téż każde jego wystąpienie budziło niesłychane pomiędzy publicznością zajęcie, i pomimo nieznośnego gorąca, teatr bywał przepełniony; liczne zaś dowody uznania, nie szczędzone mu ze strony współziomków, powinny go przekonać, ile talent jego przez nich jest ceniony.

Do ważniejszych faktów w dziedzinie sztuki miejscowéj dokonanych policzyć jeszcze należy ostatnią uroczystość muzyczną, daną w cyrku dnia 20 czerwca

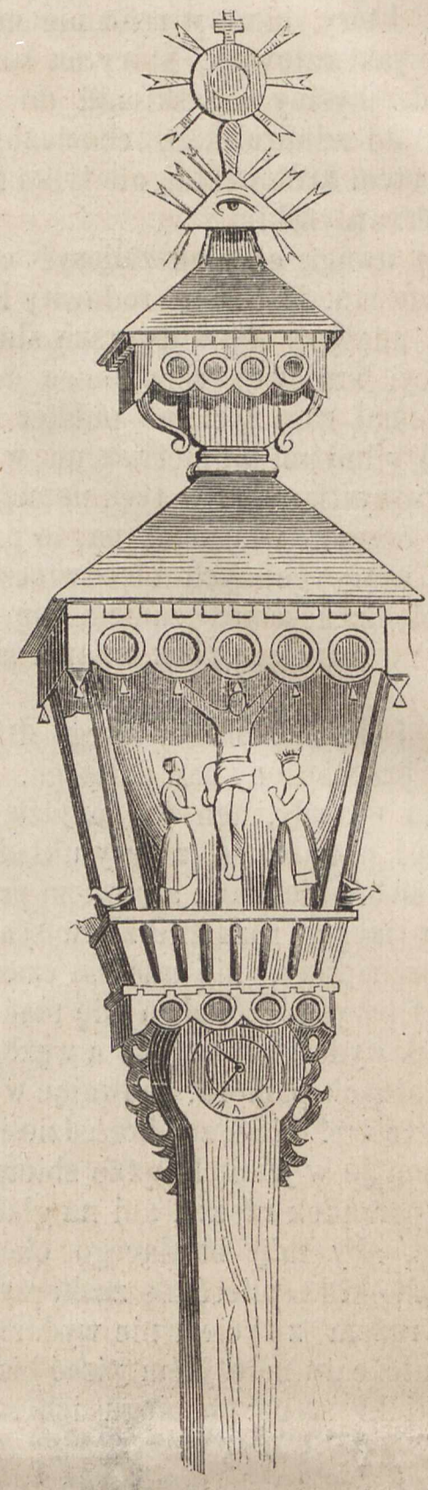


na korzyść Instytutu muzycznego. Program jéj nic nam nowego nie przedstawiał; ograniczono się głównie na powtórzeniu dzieł poprzednio już wykonywanych; solowa tylko muzyka w osobie panny Mösner, zadziwiającéj harfistki, i Henryka Wieniawskiego, potężnych miała przedstawicieli.

UBIORY WŁOŚCIAN I KRZYŻE NA ŻMUDZI.

(Podług rysunku A. Römera.)

Rodowi włościanie dyecezyi żmudzkiéj w ogólności odznaczają się pobożnością, zamiłowaniem miejsc rodzinnych, zwyczajów i ubioru, niewątpliwie od dawnych czasów niezmiennego kroju. Są charakteru



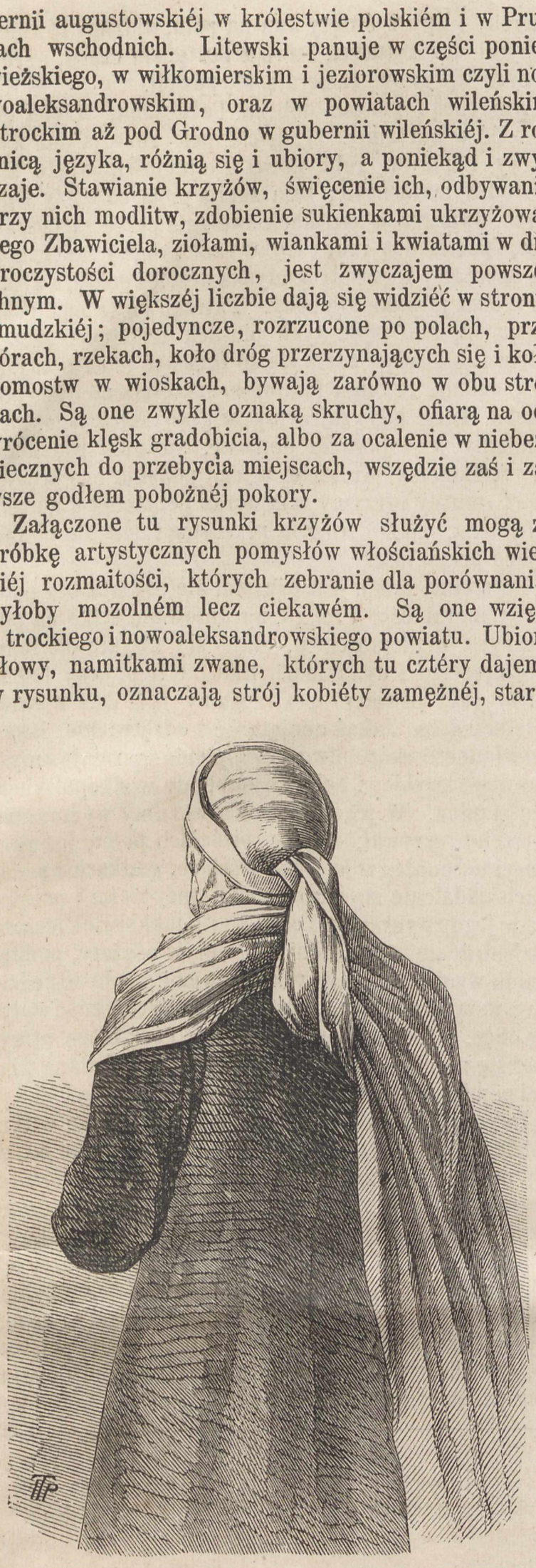
łagodnego, obyczajów nienagannych, pilnujący więcéj roli niż przemysłowych zarobków, a w pracy nie leniwi, mianowicie tam, gdzie oddawna wprowadzony zwyczaj czynszowego rachunku zamiast pańszczyzny, dał im zamożność, obracaną niekiedy na spekulacye handlowe, za przykładem ludności napływowéj, pochopniejszéj do zysków. Od dwóch lat blizko dają z siebie piękny przykład mocy postanowienia i wytrwałości w otrząśnieniu się od nałogu pijaństwa.

Język ludu téj dyecezyi w gubernii kowieńskiéj rozdziela się na dwa dyalekty, na żmudzki i litewski. Żmudzkim mówią w trzech głównie powiatach: rosieńskim, szawelskim i telszewskim, a także w części poniewieżskiego i prawie w całym kowieńskim, po rzekę Niewiażę. Daléj ten dyalekt rozciąga się w gu-



bernii augustowskiéj w królestwie polskiém i w Prusach wschodnich. Litewski panuje w części poniewieżskiego, w wiłkomierskim i jeziorowskim czyli nowoaleksandrowskim, oraz w powiatach wileńskim i trockim aż pod Grodno w gubernii wileńskiéj. Z różnicą języka, różnią się i ubiory, a poniekąd i zwyczaje. Stawianie krzyżów, święcenie ich, odbywanie przy nich modlitw, zdobienie sukienkami ukrzyżowanego Zbawiciela, ziołami, wiankami i kwiatami w dni uroczystości dorocznych, jest zwyczajem powszechnym. W większéj liczbie dają się widzieć w stronie żmudzkiéj; pojedyncze, rozrzucone po polach, przy górach, rzekach, koło dróg przerzynających się i koło domostw w wioskach, bywają zarówno w obu stronach. Są one zwykle oznaką skruchy, ofiarą na odwrócenie klęsk gradobicia, albo za ocalenie w niebezpiecznych do przebycia miejscach, wszędzie zaś i zawsze godłem pobożnéj pokory.

Załączone tu rysunki krzyżów służyć mogą za próbkę artystycznych pomysłów włościańskich wielkiéj rozmaitości, których zebranie dla porównania, byłoby mozolném lecz ciekawém. Są one wzięte z trockiego i nowoaleksandrowskiego powiatu. Ubiory głowy, namitkami zwane, których tu cztéry dajemy w rysunku, oznaczają strój kobiéty zamężnéj, staro-



żytny ubiór wielkiéj powagi i skromności. Strój jak na piątéj główce, z dodatkiem męzkiéj, barankiem oszytéj czapki, stał się już dzisiaj tradycyą miejscową, chociaż niedawno jeszcze był w używaniu. Wynikło to z nierozważnego upominania młodych księży, którzy w niewczesnéj gorliwości gorszyli się, że męzki strój nieprzystojnie używany jest przez niewiasty, a nad tém nie raczyli głębiéj się zastanowić, że z odjęciem zwyczaju, nieraz znika i dobry obyczaj. Jakoż od niedawna wzorowa niegdyś pod sprężystym i sprawiedliwym zarządem hrabiny z Żabów Platerowéj starościny subockiéj, włość dusiacka, mniéj pilnie pod nowym zarządem dopatrywana a zamożna, zaczyna dopuszczać się zbytku w strojach: baby pod namitki podsuwają karbowane czépeczki, moda się szérzy i w ślad za nią zwolnienie obyczajów. Pożądaną była dawniéj dziewka z dusiackiéj włości dla żeniącego się gospodarza; dzisiaj już jéj tam nie szukają. Szósta główka jest młodéj dziewczyny ubranéj do ślubu. Ubiory te zebrane są z nad granic Kurlandyi, od strony litewskiéj.

Badacze źródłosłowu litewskiego języka tak nieraz bywają naiwni w zapędzie poszukiwań swoich, jak księżniczka Kiejstutówna Aldona, gdy słuchając przerażającego opowiadania Alfa, mniemała że

„*Ojczyzna jak świat długa, szeroka bez końca,*“

jakkolwiek przypuszczenia ich uzasadnione są w części szerokiém niegdyś władaniem książąt litewskich i dają się usprawiedliwić ze stanowiska rozmiłowanego w swym kraju obywatela, któremu gdy doma jest dobrze, rad byłby całą społeczność garnąć w te same warunki, i sercem ukochać każdego człowieka jakby Litwina, i każdy kraj ziemi jak osiadłość jednéj rozplemienionéj rodziny litewskiéj. Dla nich Hiszpan



jest bratem jednego z nimi pochodzenia, noszący dotąd litewskie nazwanie *Isz Ponasz* (z panów). Portugalia jest najwyraźniéj krajem, w którym, że potrzeba ciepłéj łaźni ustaje, więc *Pirti Gała* (koniec łaźni). Turek poganin uciekał przed ścigającemi go



litewskiemi gońcami; toć pędząc za nim musieli krzyczéć: *turek!* (trzymaj!). A nad Donem chleba zawsze podostatkiem mieli, to i *donas* (chléb) stał się nazwaniem rzeki. I Wołga Litwinom nasunęła potrzebę pokarmu, nim się przez nią przeprawią; nazwali ją więc *Wałga* (on jé), na pamiątkę dobrych popasów. Takiemi śladami idąc, badacze starożytności litewskich nic dziwnego że granic dla Litwy nie znajdują.

OBRAZY WIELKOPOLSKIE.

Przez **F. S.**

IV.

PAŁUCZANIE.

Tam gdzie wrzały niegdyś walki gorliwych krzyża obrońców z pogaństwem, gdzie szczęk oręża średniowiecznych zastępów zwiastował krwawe klęski, pożogi, dziś na zagonach krwią przesiąkłych kołysze się złota pszenica i odbrzmiewa piosnka rolnika. Walą się z wiekiem olbrzymie mury, kruszą granity, zmieniają się rzék koryta; usychają wiérzchem konary odwiecznych szczepów, nowe w głębi wypuszczając korzenie; jedno pokolenie ustępuje miejsca drugiemu, jedna odmiana rodzi następne. Zagasły ognie pogańskich Żniczów, runęły świątynie krwawéj ofiary, przeszły wojenne nawały, umilkły burze, i tylko wspomnienie ich zostało w pamięci ludu, w podaniach.



Piękny to wieniec, urocza poezya, te podania ludu, sięgające w najoddaleńszy okres dziejowy, w czasy ciemne, przedchrześciańskie. Widzimy tam najprzód zaklęcia i czary, jakie tylko bujna wyobraźnia ludzka stworzyć sobie zdoła; błądzimy na skrzydłach wiatru po odwiecznych lasach, kryształowych zamkach, złocistém słońcu i srébrnych górach księżyca. Naraz odsłania nam się jaśniejszy widnokrąg chrześciańskiego świata, niebo czyste, lazurowe; ranna jutrzenka rumieńcem nas wita; spotykamy się z Chrystusem zwykle za żebraka przebranym; rozmawiamy ze świętemi, podziwiamy ich cuda, a Piotr święty, jako strażnik fórty niebieskiéj, otwiera nam podwoje do raju. I znów horyzont się zaciemnia; huczą burze i walki; morowa dziewica rozsiewa z chustki zarazę po kraju; głód i ogień pochłaniają ofiar tysiące; na niebie ukazują się znaki gniewu boskiego; przestrach ogólny ogarnia umysły. A w tych podaniach tyle jest potęgi słowa, tyle prześlicznéj, jak gdyby z kwiatów i pereł usnutéj poezyi, że trudno sercem nie przylgnąć do niéj, nie rozmarzyć nią wyobraźni.

W wielkopolskiéj ziemicy, zacząwszy od miasta powiatowego Wągrowca, aż daléj ku północy do rzéki Noteci, rozciągają się Pałuki, z przyległém Krajnem. Kraj ten, graniczący z Brandenburgią, Pomorzem i posiadłościami dawnych krzyża rycerzy, niejednokrotnie wspomniany w kronikach, zamieszkuje dotąd lud starożytny, noszący nazwę, jak niektórzy utrzymują, od łąk rozległych, które w tym zakącie Wielkopolski, dla licznych jezior, rzék i strumieni, bujną

się niegdyś zieleniły paszą. Wjeżdżając w te okolice, będące przez tyle wieków widownią krwawych walk z Pomorzem i dumnemi Krzyżakami, przejmujemy się dziwnym smutkiem i uczuciem żalu. Każdy wzgórek i dolina naznaczone tam piętnem wieków, każda wioska ma swoje dzieje i okropnych scen podania; a lud, jakby żywo przejęty tych dawnych nieszczęść wspomnieniem, dotychczas posępne ma twarze, nuci smętne dumy o dziewicach, co zhańbione przez wrogów, same sobie śmierć zadawały; opiewa czyny rycerskie, których wieki nie zdołały zatrzéć w umysłach. Lecz i późniejsze dzieje kraju nadnoteckiego smutny przedstawiają obraz klęsk i wycisnęły na nim piętno bolesnego przeszłości wspomnienia, stając się źródłem rzewnych pieśni i smutnych powieści, jakiemi się Pałuki przed innemi odznaczają.

Malownicza rzéka Mątwa, która wypływając z jeziora Gopła, przerzyna Pałuki i zalewa na wiosnę łąki i doliny, jest dla Pałuczan drugą Melissą. O niéj to w ustach ludu krąży niejedno podanie; ona była niegdyś przedmurzem dla pogańskich zastępów Pomorza i wstrzymywała nagłym wylewem pochody krzyżackie.

O Mątwo, Mątwo, ty najsłodsza Mątwo!
Ach zostań z nami, nie rzucaj nas z klątwą!
Twe czyste zdroje, słodką wodę twoją
Zmącą rycerze, nim konie napoją.
Twe czyste wody krwią się ludzką zbroczą,
Gdy wściekli Turcy rycerzy zaskoczą....
O Mątwo, Mątwo, najśliczniejsza rzéko!
Płyniesz, uciekasz za góry daleko,
A lud za tobą z ranną płacze rosą,
I jego żale wietrzne ptaszki niosą....
Wyszła dziewczyna, rączki załamała,
Czemuś, o Mątwo! wód swych nie wstrzymała? i t. d.

Początek ten dość długiéj dumy, będącéj w ustach ludu tamecznego, dostatecznym jest dowodem poetycznéj treści jaką Pałuczanie przeplatają swe podania, tylko że pomięszali w niéj Turków z innym nieprzyjacielem, który im się zapewne dał kiedyś we znaki, i którego napadu prostodusznie znowu się obawiają.

W dalszym ciągu téj pieśni, piękna dziewczyna wywodzi żale za swym kochankiem, który utonął w bystrych prądach Mątwy. W bolesnych słowach przypisuje rzéce winę swego nieszczęścia i łez tęsknoty za ulubionym.

Kwitnie kalina, zielenią się drzewa,
Mała ptaszynka w ogródeczku śpiéwa;
Wesoło wszędzie i cudnie na dworze,
Tylkom ja smutna, och! smutna nieboże!
Jasio nie wraca, nie wróci na wieki,
Zasnął w objęciu nielitośnej rzeki....

Zasnął Jaś w Mątwie; lecz i w Pałukach coraz bardziéj milkną rzewne pieśni, głuchną podania. Smutnemu bo téż z dnia na dzień ulega przeobrażeniu owa poetyczna kraina. Innoplemieńcy wykupują włości jedne po drugiéj, nowy zaprowadzają porządek i zwyczaje; a lud swojski, nieprzywykły do téj odmiany, z niedowierzaniem patrzy w koło siebie. Ledwie gdzieniegdzie pozostał jeszcze dwór polski, bo właściciele sami usuwają się dobrowolnie z miejsc rodzinnych, odprzedając obcym drogą po ojcach spuściznę. Piła, pamiętne miejsce urodzenia Staszica, ze zmianą mieszkańców zmieniła i nazwisko, straciła ślady piérwotne, a język polski uległ naciskowi. Nakło, owa graniczna strażnica przeciw Krzyżakom, dziś wcale nie podobne do dawnego. Żnin, rodzinne gniazdo dwóch braci Śniadeckich, słynny starożytnym kościołem, który wzniesiony za miastem na wzgórzu przecudny widok przedstawia zdaleka, coraz więcéj zaciera w sobie ślady polskości. Zgoła gdzie spojrzysz po Pałukach i Krajnie, wszędzie się wkradła odmiana, inne zwyczaje i język, wszędzie smutek i zwątpienie.

Nikną rodzinne pamiątki, zakopują się w grobie wiecznego zapomnienia owe bohaterskie dumy, urocze pieśni, zajmujące podania. Język starożytny Pałuczan przemienia się w jakąś dziwaczną nowych wyrazów mięszaninę. A prawdziwy to skarb dla archeologa, ten język nadnoteckich okolic, którym tu i owdzie lud jeszcze przemawia! Pełno w nim wyrażeń nieznanych w innych częściach Wielkopolski, jak np: *dźwierze* (drzwi), *sieba* (chata), *rajdać* (chodzić, człapać) i t. d.

Tak zwani prorocy ludowi, podobni do starożytnych bardów i lirników, znajdują się jeszcze na Pałukach, podtrzymując zwyczaje ludu. Między Żninem a Barcinem, we wsi Jadownikach, żyje dotąd stary kowal, którego lud słucha jak wyroczni. Poetycznym stylem przywodzi on różne podania, choć często mija się z prawdą we względzie czasu, miejsca i nazwy, mięszając wypadki jedne z drugiemi. Takich postaci ludowych, około których zbiérać się zwykła ciekawych gromada, liczba się co dzień zmniejsza, a miejsce ich zostaje opustoszałe; bo młodsze pokolenie, wyrosłe w spokojniejszych czasach, nie miało sposobności przejąć się silniejszém wrażeniem, zapomina łatwo podań przodków i nie ma co przekazać w słowie swym następcom.

Obok proroka uwydatnia się druga figura, ważną odgrywająca rolę w pospólstwie, tak zwany *nawidzony* czyli czarownik, od którego lud o tyle znów stroni, o ile do piérwszego chętnie się garnie. Jest to wyschły zwykle, przygarbiony, kaszlący starzec lub baba, którego mieszkanie na końcu wioski lub gdzieś na ustroniu przy parowie, składa się z nizkiéj, przydymionéj lepianki, pochylonéj jak jéj właściciel ku ziemi, i z małéj obok stojącéj komórki, chrustem pokrytéj. Po dachu téj zaklętéj strzechy gonią się koty, czarne jak szatany, na progu zaś leży wyciągnięty ponury brytan, ostre przechodzącym pokazując zęby. To téż każdy mieszkaniec wioski omija zdaleka zaczarowaną siedzibę potępionego w mniemaniu ludowém człowieka i żegna się jak przed czartem, gdy przypadkiem spotkać mu się zdarzy owego piekielnych sprawek zwolennika. Wzrok jego sprowadza urok, czyli mocny ból i zawrót głowy, wyrzeczone przekleństwo zadaje ustrzały, kołtuny, zarazę bydła, a nawet śmiercią ludzi dotyka.

Oprócz tych z rodu swego sprawców nieszczęścia, (bo niektórzy z dziada, pradziada dziedziczą tajemnice szatańskie), inni częstokroć sami się robią czarownikami, uwodząc łatwowiernych. Odepchnięci od społeczeństwa, wykluczeni z towarzystwa, oddalają się na ustronie, a korzystając z miana jakie im nadano, zaczynają na dobre ludzi straszyć i durzyć swą czarodziejską sztuką, leczeniem ziołami, zaklęciem i t. p. Młode dziewczęta szukają u nich rady na niewiernych kochanków, chorzy lekarstwa na swe słabości, prześladowani nieszczęściem środków na swój upadek i nędzę, majętni względów i błogosławieństwa w dobytku. Tacy opętani czyli nawidzeni, zdaniem ludu, mają w sobie złe duchy, które przez nich różnemi przemawiają językami. A wybredne są to istoty! Jeden z nich chce miéć zawsze wódki podostatkiem, inny pieniądze, inny znów chléb, masło i placki, lud zaś donosi to wszystko nienasyconym, bo na tém zależy jego pomyślność, zdrowie i życie. Tych oszustów prostego ludu oświata nawet nie potrafiła dotąd usunąć. Pojawiają się oni na Pałukach i Krajnie, zyskując w krótkim czasie rozgłos w całéj okolicy, a nawet w oddaleńszych częściach Wielkopolski.

Pałuczanie należą do najdawniejszych osiedleńców słowiańskich w Wielkopolsce. Niektórzy nawet upatrują w ich ubiorze, zwyczajach i mowie inny szczep, nie słowiański, choć polskim mówiący językiem. Istotnie téż wrodzona im ponurość, płochliwa dzikość umysłu, to znowu szalona do zbytku wesołość i ruchliwość ciała niezwykła ludowi polskiemu, utwierdzić mogą w tém mniemaniu. Ubiór Pałuczan składa się z niezbyt długiéj sukmany, z różnobarwném wyszyciem na kołnierzu i klapach, i z wysokiego kapelusza, podobnego do ściętego ostrokręgu. Kapelusz ten, obwinięty do połowy w czerwone i żółte sznurki, przeplatane różnemi krzyżykami, świecidełkami z ołowiu i blachy, naprowadza także uczonych na różne domysły we względzie pochodzenia Pałuczan.

Zwyczaje ich i obrzędy sięgają odległych czasów historycznych, których śladów, choć w pomięszaniu z nowemi wyobrażeniami, łatwo jeszcze dostrzedz można. Czy to pogrzeb, czy wesele. czy kiermasz, czy dożynki, czy wreszcie zapusty i dyngus wielkanocny, pełno w nich zwrotów pogańskich, pełno nieznanych wyrazów, zastosowanych do okoliczności. Owe stypy pogrzebowe, spełnianie zdrowia za spokój zmarłego, rozdawanie chleba ubogim na cmentarzu, przepraszanie się wzajemne, przypominają nam *Dziady* litewskie. W obrzędach weselnych, gdzie pannie młodéj na dzieży ustawionéj na środku izby obcinają włosy, podczas gdy druchny wyprawiają szalone tańce w około, przy różnych figlach płatanych przez drużbów, dostrzegamy epoki przedchrześciańskiéj. W owych nareszcie przebranych bałwanach w zapusty i wielkanoc, w zatykanych gałązkach wierzby i lipy w święty Jan na polu, widzimy również zabytki starożytności, które z postępem czasu, wśród obcych wpływów, zacierają się powoli.

Ale chcąc poznać dobrze Pałuczana, trzeba go widzieć w karczmie. Tam chłopek rozwija dar wymowy i śpiéwu, robi nowe znajomości, wiąże się w stadła małżeńskie; tam zapija móla co toczy jego serce, wynurza w uściskach swe żale przed sąsiadem, i ot, pocieszony rzuca się w szał zabawy tanecznéj; na ogorzałéj jego twarzy błyska wesele i pokój, a z serca tryska piosnka swobody. Patrząc na te uśmiechy i okrzyki, słuchając tych piosnek tchnących szczęściem i radością, zdaje się że tam być musi pomyślność ogólna, że temu ludowi do szczęścia niewiele potrzeba. Lecz gdy zajrzymy w głąb' serca jego, gdy zbadamy jego pożycie domowe, stosunki rodzinne; gdy wnikniemy wreszcie w jego podania i zwyczaje: jakiż smutny ujrzymy tam obraz poniżonéj godności człowieka, jakże słuszną przedstawi nam się obawa o jego przyszłość?

Potrzebna zaiste jest oświata; ale oświata bez podstawy moralności i religii, ugruntowana tylko na potocznych wiadomościach, staje się zwykle dla ludu nieszczęściem i upadkiem. Smutne te objawy i skutki błędnéj oświaty spostrzegamy już dziś w całéj Wielkopolsce. Jakaś obojętność i odrętwienie, jakaś bezwładność chorobliwa i zwątpienie ogarniają umysł wesołego zwykle i pełnego swobody wielkopolskiego włościanina. W jego zabawach widzimy wymuszoną potrzebę rozrywki; w jego pieśniach pełną już pretensyi uczoność; w jego powieściach, gadkach i podaniach oddalenie się ich od piérwotnéj treści i prostoty; w jego zwyczajach i obrzędach, jakkolwiek jeszcze gdzieniegdzie dochowanych, wpływ oświaty, pomięszanie wyobrażeń dawnych z nowemi: zgoła wszędzie i we wszystkiém znać skrzywione pojęcia, znać wpływy obce. W takim stanie rzeczy czyż mogą utrzymać się na długo podania rodzinne, niepokalana wiara i pamięć o przeszłości?

Dopóki resztki ognia i uczucia tlą jeszcze w tym ludzie poetycznym, dopóki postęp i skrzywione o rzeczy pojęcia nie zatrą śladów świętéj jego prostoty, obowiązkiem jest wskazywać mu tę błędną drogę którą postępuje, a która zawieść go może w manowce; przewodniczyć mu na ścieżkach życia, zawalonych tylą przeszkodami. I my więc nie przestaniem zbierać niknących pamiątek i przedstawiać nadal w naszych obrazach typy i zwyczaje ludu wielkopolskiego, aby choć jedném ziarnkiem, wrzuconém do winnicy pańskiéj, przysłużyć się potomności.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Kartka z dziejów sztuki i poezyi, przez Lucyana Siemieńskiego. Żytomierz 1860.

Przyjemną i pożyteczną pracą przysłużył się pan Siemieński naszemu artystycznemu światu, chociaż i nieartysta zarówno z niéj korzystać może. Praca ta, odnosi się do owéj epoki, kiedy pod natchnieniem geniuszów włoskich i błogosławieństwem z kapitolu, sztuka chrześciańska, wydobywszy się z pieluch, w krótkim czasie wyrosła w olbrzyma, a świadkiem jéj wzrostu było jedno pokolenie. Tak to jednoczą się działania mass i pojedynczych indywidualności: massy drobnemi usiłowaniami torują drogi, ale wielkie tylko talenta na tych drogach stawiają pomniki. Wielką jest ta epoka odrodzenia w znaczeniu cywilizacyi: dotąd świat ulegał tylko przewadze żelaznéj zbroi, sile fizycznéj i materyalnéj, a jeżeli padał na kolana, to tylko przed hełmem zdobywcy; odtąd poznał innego rodzaju wielkość i uczcił tego, nad czyjém czołem dostrzegł aureolę geniuszu. Epoka odrodzenia jest windykacyą przywilejów ducha, początkiem uznania wewnętrznéj wartości człowieka: odtąd zjawiły się nowe, nieznajome trony, i zdobywcy ziemscy znaleźli obok siebie towarzyszów, którzy ich przyćmiewali. O téj to epoce mówi nam p. Siemieński.

Książka jego rozpada się na dwa zupełnie osobne działy, ściśle jednakże treścią związane. W piérwszéj kréśli on z najlepszych, choć znanych już, źródeł, głównie z Vasarego, żywot Michała Anioła pod wszystkiemi postaciami, w jakich olbrzym ten przedstawiał się światu. Odwzorować takiego człowieka, niemałe to zadanie. Rafaelowi dosyć dać w rękę pę-

dzel, Mozartowi lirę, Kanowie dłuto; ale jakież godło wymyślimy dla Michała Anioła, kiedy choćbyśmy rozpostarli nad nim całą wiązankę plastycznych sztuk, to jeszcze mało, jeszcze Wiktorya Colonna ukaże nam wiérsze jakie dla niéj składał, jeszcze gród florencki wskaże nam szańce, mosty i mury forteczne jakie wznosił ku jego obronie i otworzy księgę swych dziejów, w których on zapisywał zdania swe, jako mąż stanu. Nie—doprawdy, to już zbytek wielkości; ale Opatrzność w samę porę rzuciła ją w cień wieków średnich, aby pokazać, że są inne place bojów, inne odwagi i tryumfy; — zaszedł dzień średniowieczny, nowe słońce wstawało w różowych promieniach sztuki. Od życiorysu Michała Anioła możnaby oczekiwać szczegółowego rozbioru i ocenienia artystycznych ducha jego tworów; nie znajdujemy tego w obecném dziele, w którém strona etyczna przemaga nad specyalnie artystyczną; nietyle autor zajęty jest pojedynczemi pracami, jak raczéj człowiekiem, jego ogólną działalnością i wpływem, epoką w któréj żył i walką którą musiał toczyć z okolicznościami; jest to słowem jakby biografia poety, umieszczona na wstępie do jego dzieł, dopomagająca do zrozumienia natury jego twórczości i objaśnienia, dlaczego w rozwoju myśli swéj szedł tym, nie zaś innym kierunkiem. Spotykamy się tam z postacią nader sympatyczną, z kobiétą wielkiego serca i umysłu niepospolitego: jest to Wiktorya Colonna, wdowa po bohaterze włoskim, która w młodym wieku utraciwszy małżonka, do końca życia nie zdjęła po nim żałoby. Los postawił ją na drodze Michała Anioła, ale było to już wtedy, gdy życie jego zmierzało ku zachodowi. Oboje duchem do siebie podobni, z góry spoglądając na interesa ziemskie, połączyli się w cichą harmonią dusz. Michał Anioł, który dotąd pustelnicze prowadził życie, piérwszy raz otworzył serce uczuciu tkliwéj i wzniosłéj miłości. Poetyczny duch Wiktoryi rozkołysał jego wyobraźnię, malarz pochwycił pióro poety i w natchnionych sonetach wyśpiéwał to dziewicze uczucie, niezaćmione najmniejszą chmurką ziemskiego powiewu. Przetłumaczone tu przez pana Siemieńskiego dwa sonety Michała Anioła dowodzą wysokiego w mistrzu tym daru poetyckiego, blizkiego pokrewieństwa z Dantem, którego Buonarotti, jako artysta, za wzór sobie stawiał, a jako człowiek, uwielbiał. W powszechnym podziwie dla artystycznych tworów Michała Anioła, mniéj dotąd zważano na jego poetyczne prace; dziś zaczynają one zwracać uwagę, zbiór ich się pomnaża, a kiedy nareszcie ogólnie będzie się w nim można rozpatrzyć, świat ujrzy nową, znakomitą stronę tego zadziwiającego człowieka.

Drugą część książki stanowi traktat o malarstwie, napisany w języku portugalskim przez Franciszka d'Ollanda, illuminatora z 16 wieku, umieszczony w przekładzie francuzkim w zbiorze wydanym przez Atanazego Raczyńskiego i ztamtąd przez p. Siemieńskiego na język polski przetłumaczony. Trudno wymagać abyśmy się z tak dawnego zabytku mogli dziś czegoś nauczyć, dowiedzieć się jednak możemy bardzo wiele. Traktat ten, przegradzany opowiadawczemi epizodami, głównie zawiera się w rozmowach, w których mają udział Michał Anioł, Wiktorya Colonna, Laktancyusz Tolomei, przyjaciel ich dwojga, oraz sam autor. Interlokutorowie rozbierają zasadę i znaczenie malarstwa, a lubo pojęcia ich i rozumowania o téj sztuce, jakotéż o sztuce w ogólności, nie wychodzą poza zakres bardzo ograniczony, podziwiamy wszelako ich wielki dla téj sztuki szacunek i miłość; zapatrywanie się ich na godność malarstwa, któremu nadają bezwarunkowo piérwsze miejsce w sprawach umysłu ludzkiego i cywilizacyi, chociaż widocznie przesadzone, niemniéj jednak dowodzi głębokiego przekonania wysokości posłannictwa artysty. Za warunek doskonałości kładą oni, oprócz talentu, świętobliwe życie, któreby usposobiało artystę do pojęcia idei bóstwa i świętości, idei najwyższéj do jakiéj wznieść się może duch człowieka; — następnie oryginalność, którąby każdą pracę oznamionowała cechą indywidualności mistrza, była nim samym, odróżniła go od poprzedników i następców. Są to zasady, do których i dziś nie można nic dodać, ale tu postawione ogólnikowo; czuli je bezwątpienia doskonale Michał Anioł i Wiktorya Colonna i wypowiedzieć zapewne potrafili, tylko że autor pamiętnika zredagował je jak sam umiał, to jest w sposób dość pospolity. Dwa cele, doskonałość i oryginalność, za któremi ubiega się malarstwo włoskie, nadają mu tę wyższość nad innemi, która sprawiła, że malować po włosku, znaczy to samo co malować dobrze. Tu autor porównywa z niém szkołę flamandzką, potępiajac ją za to, że stara się gromadzić wielką liczbę przedmiotów ze świata rzeczywistego branych i obsypuje się drobiazgami, co rozprasza siły artysty; gdy przeciwnie Włoch przedsiębierze raczéj przedmiot pojedynczy, ale wielki treścią, wzniosły ideałem, w tém przekonaniu, że gdy osiągnie doskonałość najwyższą w przedmiocie najtrúdniejszym, wszystkie podrzędne przyjdą mu bez trudności. Mowa tu jest widocznie o rodzaju religijnym. Na tém ogranicza się cała ważność pamiętnika pod względem zasad i rozumowania, reszta jest już mniejszego znaczenia, jako dotycząca więcéj fachu malarskiego w stosunku do towarzystwa, na który autor chciałby zwrócić uwagę czytelnika, celem zyskania dla malarzy protekcyi możnych, upatrując w tém zachętę do pracy, a tém samém i postęp sztuki. Wysłanym będąc do Włoch, dla kształcenia się kosztem Jana III króla portugalskiego, jemu téż przypisując ten traktat, sądził może, iż przezeń skłoni go do takiego zajęcia się sztuką, jakie widział pośród panujących we Włoszech, i dlatego niejednokrotnie w téj myśli przemawia. Wszystko to nie jest bez interesu dla historyi sztuki.

Przekład p. Siemieńskiego odznacza się wybornym językiem i stylem, o jakim pewnie ani się śniło oryginałowi, a cała ta praca, poprzedzona kilką pobieżnemi, ale nader trafnemi uwagami o sztuce, w zastosowaniu do jéj rozwoju u nas, jest skromnym prawda, lecz pożądanym przyczynkiem do naszéj artystycznéj literatury.

Ξ.

W przedmiocie tak żywo dziś wszystkich obchodzącéj i tak wszechstronnie roztrząsanéj kwestyi kobiét, otrzymaliśmy następującą odezwę:

Gazeta Warszawska zamieściła niezbyt dawno w felietonie swoim recenzyą dzieła Micheleta *La femme*, z niepospolitym napisaną talentem. Jest to raczéj obszerna rozprawa o kobiétach, o ich charakterze, wychowaniu, obowiązkach, wraz z historycznym poglądem na ich stanowisko w społeczeństwie.

Przyznać trzeba, że autor téj rozprawy, o ile to w obecnéj chwili jest możliwém, bezstronnie i sprawiedliwie ocenia kobiétę, że jakkolwiek zapatruje się na nią z *męzkiego* wyłącznie stanowiska, wiele jednak postępowych zdań wygłasza, i z tego względu słusznie mu się należy wdzięczność kobiét. Najbardziéj zaś powinny mu być wdzięczne za następujący ustęp, który tu w całości przytoczymy.

„.....żądamy aby kobiéta była światłą i ukształconą, ażeby była towarzyszką naszą nietylko z ciała, ale i z ducha, a to w tém przekonaniu, że zdrowa oświata nigdy być szkodliwą nie może, nie stanie na zawadzie w spełnianiu choćby najprostszych obowiązków, ale owszem zachęci do nich, konieczność ich wykaże. Błędném jest to mniemanie, że kobiéta ukształcona nie może być dobrą gospodynią domu, staranną około swych dzieci matką; przeciwnie, lepszą być powinna; a jeżeli zdarza się inaczéj, to jedynie z téj przyczyny, że złe odebrała wychowanie, że właśnie na wykształceniu jéj zbywa.“

My tylko dodalibyśmy jeszcze: że kobiéta prócz tego iż bywa żoną, matką i gospodynią, jest także *człowiekiem*—istotą rozumną, mającą prawo i obowiązek kształcenia swego ducha, nietylko ze względu na pożytek męża i dzieci ale i na swój własny. Nie każda przytém kobiéta ma koniecznie żoną i matką zostać, a dlaczegóżby nie mogła i w inny sposób być użyteczną społeczeństwu?

Ale nie będziemy się wdawać w długą dyssertacyą, do któréj nie czujemy się bynajmniéj na siłach; ogólnie więc powiemy że, naszém zdaniem, jak na teraz bardzo byłoby do życzenia, ażeby sposób zapatrywania się szanownego recenzenta mógł się upowszechnić. W jednym tylko względzie nie zgadzamy się z nim zupełnie i chcielibyśmy parę uwag swoich przedstawić.

Otóż więc protestujemy przeciwko tak bezwzględnemu wykluczeniu kobiét od znajomości obcych języków, do którego autor przy końcu swéj rozprawy zachęca. Zdaniem jego znajomość obcych języków potrzebną jest jedynie przy studyowaniu specyalnéj jakiéj nauki; inaczéj posłużyć chyba może do zadowolenia próżności i do *czytania romansów*. Więc ciężko uczone księgi i romanse, to już wszystko z czego się obce literatury składają? Do któréjże kategoryi będą się liczyć dzieła wszystkich poetów, historyków, mówców, filozofów, moralistów? Czyż Pascal, Fénélon, Montesquieu, romanse pisali? Czyż Edgar Quinet, Jean Reynaud, Henri Martin, romanse piszą? Z czytania utworów Szekspira lub Szyllera niczże więcéj nie wyniknie, jak tylko zadowolenie próżności? A gdyby nawet rzeczywiście czytanie dzieł takich autorów żadnego praktycznego pożytku nie przyniosło, gdyby miało być jedynie rozrywką, to czyż się godzi taką rozrywkę potępiać? czyż ona nie jest sto razy niewinniejszą, mniéj kosztowną, mniéj dającą się we znaki, jak wszystkie bale, zabawy, stroje, dewocye, plotki, niemiłosierne brząkanie po klawiszach lub fałszowanie aryj włoskich?

Rozumié się samo przez się, że nie mówimy o kobiétach żyjących w sferze, w któréj zmuszone są wszystek czas swój poświęcać na to, co jest tylko pożytecznem i miłém; ale wszakże i autor mówi głównie o kobiétach średniéj klassy, wszakże pozwala, pragnie nawet żeby były ukształcone; niechże więc powié sumiennie, bezstronnie, czy *u nas* można być prawdziwie ukształconym, nie posiadając żadnego obcego języka? Jakież my na przykład mamy dzieła historyczne? Trochę tłumaczeń i to po większéj części niedokładnych, niekompletnych.... Że zły lub śmiészny robią użytek z francuzczyzny, to wszakże nic takiego niéma na świecie czegoby na złe obrócić nie można. Niechaj matki mniéj dbają o łatwość wysłowienia się i czystość prononcyacyi, niech dzieci swych nie powierzają cudzoziemkom i w ogólności mało znanym osobom, ale niechaj je uczą same dopóki mogą, w koniecznym tylko razie wyręczając się kim zaufanym i pewnym. To jest przedewszystkiém rzeczą niezmiernéj wagi, do tego wszelkiemi siłami powinniśmy dążyć; zresztą im więcéj kto umié, tém lepiéj, byle tylko nie spuszczać z myśli głównego celu nauki i wszelkiéj pracy człowieka, a którym jest ciągłe doskonalenie się, coraz gorliwsze spełnianie obowiązków do jakich się jest powołanym. *B. J.*

ZBROJA JANA III

i chorągiew turecka przez króla tego pod Wiedniem zdobyta.

Piérwsza z tych pamiątek przechowuje się dotąd w muzeum historyczném drezdeńskiém. Według podania miał dzielny król nasz zbroję niniejszą nosić podczas odsieczy Wiedniowi danéj, a potém podarować współtowarzyszowi wojennych trudów, Janowi Jerzemu elektorowi saskiemu. Zbroje łuskowe, jak ta którą przed sobą mamy, dopiéro za panowania Jana III weszły u nas w powszechniejsze użycie. Król téż na rycinach i medalach najczęściéj w takowéj przedstawianym bywa, z tą jednak różnicą, że naramiennik całkowicie maszkaronem lub lwią głową bywa przykryty. Łuski stalowe polerowane, do łosiowéj skóry przytwierdzone, stanowią giętką, niezbyt ciężką, a silny opór dającą całość. Wszystkie części téj zbroi, jako to: sam szyszak, nausznice, naszyjnik, pancerz, naramiennik i t. d., oblamowane a raczéj okute są brązem złoconym; z tego także kruszcu jest orzełek na szyszaku, krzyż na naszyjniku i inne ozdoby. Podbicie z amarantowego aksamitu, cokolwiek po brzegach na zewnątrz wysunięte, nietylko że zbroję czyni wygodną do noszenia, ale się bardzo do ozdobienia całości przyczynia.

Zbroja niniejsza przedstawia jeszcze jeden osobliwy a bardzo charakterystyczny szczegół: niedosyć było obrońcy chrześciaństwa jednego krzyża, jako godła wiary, dla któréj całe swe życie, a nawet czasem interes kraju poświęcał; znajdujemy tu na każdéj łusce krzyż złotem nabijany, aby pociski bisurmańskie, w pierś króla-bohatéra godzące, wszędzie krzyż napotykać musiały. Tak obrońca krzyża pod jego uciekał się opiekę i nigdy się na niéj nie zawiódł,—ale zawiódł i bardzo na ludziach.

Po szczęśliwie dokonanéj odsieczy, gdy Jan III, gotował się do dalszéj pogoni Turków, elektor saski zawrócił swe wojska do kraju, „pokazawszy znacznie, (jak pisze Jan III do swojéj Marysieńki) swój dyskurs i resentyment“. „Posłałem mu wczora na pożegnanie, pisze daléj, dwóch koni bogato ubra-

nych, dwie chorągwie tureckie, cztérech więźniów, dwie śliczne farfury i bogatą zasłonę dla żony; generałowi Gulczowi szablę w złoto oprawną, zdobyczną, i temu oficyerowi, który mię od niego żegnać przyjeżdżał, konia dobrego. Z niewymowną to przyjął wdzięcznością, ale jeszcze większém podziwieniem, zbroi w których król Jan Wiedeń miał oswobadzać jest trzy, jeśli nie więcéj, po zbiorach, mianowicie: druga w Wiedniu w zbrojowni cesarskiéj, złożona z pancerza złotem nabijanego, z naramiennikami bronzowemi i przyłbicą spiczastą, a trzecia w zbrojowni miejskiéj tamże, bardzo skromna. O wszystkich srébrny, ze szczérozłotym napisem. Długość samego proporca wynosiła stóp 12, wysokość, oprócz drzewca, stóp 8. U góry drzewca była gałka miedziana, grubo pozłacana, z dwoma kółkami i sznurami jedwabnemi, dla umocowania chorągwi; jeden z tych sznurów został w bitwie ustrzelony.



ZBROJA KRÓLA JANA III (podług rysunku A. Lessera).



CHORĄGIEW TURECKA, ZDOBYTA POD WIEDNIEM 1683 r. (podług dzieła „Janina").

że ich ten upominkuje, którego samego tu upominkować było potrzeba."

Mogła być i nasza zbroja między temi podarkami, choć król o niéj przepomniał; to pewna wszakże, iż trzech to samo oprowadzający powiadają. Tymczasem Kochowski pisze, że król miał w tym dniu na sobie kontusz sukienny niebieski, żupan biały jedwabny i na dzielnym rumaku płowéj maści jeździł. Poprzedzał króla giermek, puklerz w kształcie herbownéj tarczy (Janiny) noszący, oraz chorąży, który dla oznaki gdzie się król znajdował, przytwierdził był do proporca swego pióro sokole. Królewicz Jakub, nieodstępny ojca w téj potrzebie towarzysz, miał szyszak na głowie, zbroję na piersiach, szpadę u boku, a pod udem, według dawnego zwyczaju, szablę krótką i szeroką.

Tak więc, lubo nie zaręczamy iż ta właśnie zbroja przez króla pod Wiedniem noszoną była, dajemy tu jéj przerys, aby ile możności szereg pamiątek narodowych uzupełnić; bo niéma wątpliwości że jest zbroją polską z owego czasu, a ozdobność jéj i stosunki przyjazne króla z Janem Jerzym elektorem saskim, czynią to bardzo prawdopodobném, iż niegdyś mogła być własnością Jana III.

Drugi z załączonych tu rysunków przedstawia chorągiew turecką, zdobytą przez Sobieskiego w pogromie wiedeńskim r. 1683, podług dzieła: „Janina, czyli opisanie zwycięzkich tryumfów Jana III na marsowém polu, po przełamaniu ottomańskiéj i tatarskiéj potencyi, przez Jakuba Rubinkowskiego. Lwów, 1757."

Chorągiew ta, misternéj roboty ze złota i srébra, miała zewnętrzny rąbek zielony, z wyszytemi złotem literami; drugi wewnętrzny obrąbek był czerwony, a na nim kwiaty wypukłe ze srébra; środek zaś lito-

Na sztandarze utkane były w języku arabskim następujące napisy, które po przeniesieniu chorągwi do Rzymu, odczytał uczony jakiś w *collegium de propaganda fide*. *(Obacz Dodatek)*.

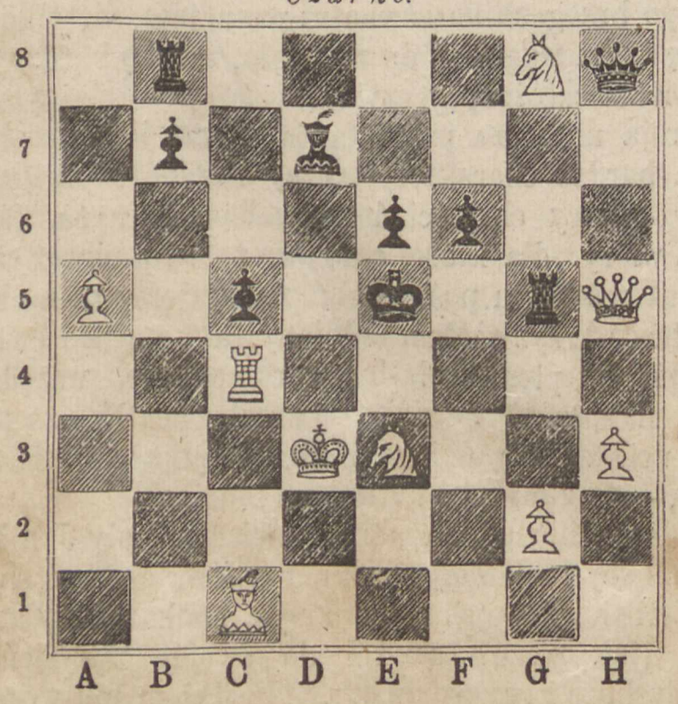
SZACHY.

ZADANIE XXVIII.

(W. Niew. w Warszawie.)

Białe zaczynają i dają mata za czwartém posunięciem.

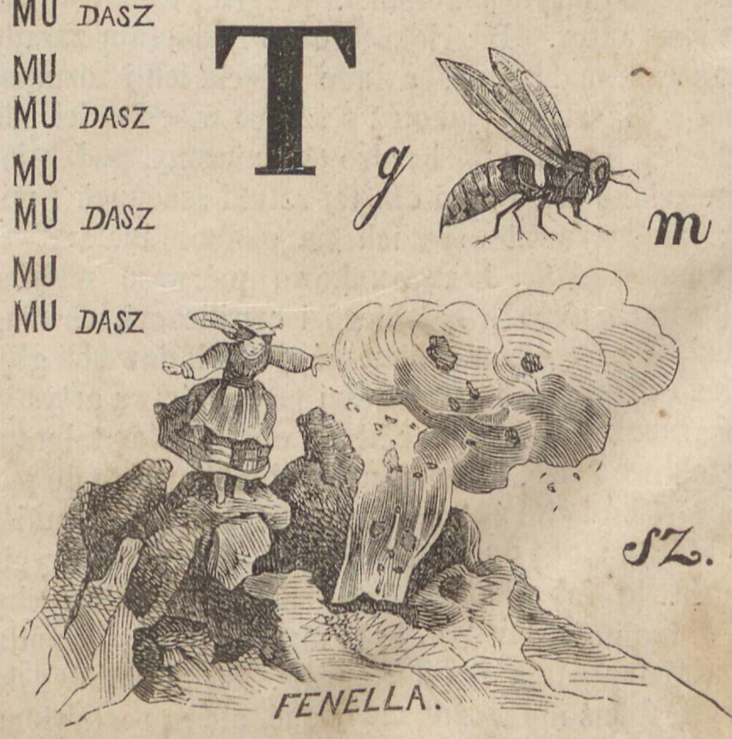
Czarne.



Białe.

REBUS.

MU
MU DASZ
MU
MU DASZ
MU
MU DASZ
MU
MU DASZ



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 39.

W sielance Jawnucie muzyka taka, iż widno w niéj przebija się dusza cyganki.

(Dodatek.)

Na części wiérzchniéj: „Życzymy ci świetnego zwycięztwa. Oby ci Bóg odpuścił twe grzéchy i przed tém i potém popełnione, a wylał na cię swą łaskę, Mahumed Omar, i na dobrą poprowadził cię drogę.“

W środku: „Niéma innego Boga prócz Allaha, a Mahumed prorokiem jego.“

Na części dolnéj: „Abubasser! Niechaj Bóg cię wspiéra wszechmocnością swoją! boć on to jest, który włożył bezpieczeństwo w serca swych wiernych, aby się w nich pomnożyła wiara. Albowiem wszystkie zastępy nieba i ziemi należą do Boga.“

Zaraz po potrzebie wiedeńskiéj, Jan III wyprawił do Rzymu, jako posła nadzwyczajnego, Jana Kaźmirza Denhoffa, biskupa cesenackiego, który złożył chorągiew u stóp Innocentego XI, na znak tryumfu chrześciaństwa, przy treściwéj i dobrze ułożonéj przemowie, wyjaśniającéj jakim sposobem cenną tę zdobycz niewiernym wydarto, za co Innocenty (jak mówi Niesiecki) „między purpuratów rzymskich go policzył.“ Proporzec przy wręczeniu najprzód ojciec święty, podług zwyczaju, podeptał nogami, następnie zaś podniesiono go, poświęcono i zawieszono w kościele św. Piotra, na wieczną pamiątkę zwycięztwa polskiego oręża.

RUCH DZIENNIKARSKI W GALICYI.

(Wyjątek z listu do redaktora Tyg. Illustr.)

(*Dokończenie*).

Skromném pismem jest wychodząca od marca r. b. *Czytelnia dla młodzieży*. Treścią swoją nie zawsze odpowiada, jak sądzę, swemu przeznaczeniu. Pisać dla młodzieży tak, aby obok rozrywki odnosiła pożytek, jest najtrudniejszém zadaniem. Rocznik całkowity okaże dopiéro, czy redaktor podołał zadaniu lub nie.

Ważniejszemi artykułami tego pisma były: *Hip. Witowskiego*, o znaczeniu nauk przyrodniczych. *Małeckiego Ant.*, o badaniach filologicznych na polu języka starosłowiańskiego. *Z. z Polów Ławrynowiczowéj*, Niewiasta i dom. *Bernarda Kalickiego*, Bratanek hetmański.

Udatne są rozprawki o literaturze *Tatomira*. W dobrze skreślonych wizerunkach ruchu literackiego u nas między rokiem 1815 a 1830, widać wpływ zbawienny prelekcyj A. Małeckiego, professora literatury polskiéj przy lwowskiéj wszechnicy. *Zawadzki Wład.* opisał pogrzeby i koronacye królów. Powieści dostarczyli: *Cieszewski K.* i *Wilkońska Paulina*. Poezye *Pola*, *Szujskiego*, *Aleks. Grozy*, *Janiszewskiéj*, *Prusieckiéj*, *Jaśkowskiego*, po większéj części nie są wyborowe, bo téż i trudno dzisiaj o prawdziwą poezyą. Najbardziéj ujął mnie prostotą swoją ten wierszyk *W. Pola*:

MODLITWA DLA MOICH DZIECI,

UŁOŻONA

U GROBU ŚW. JANA NEPOMUCENA W PRADZE.

O święty Janie! przy Twoim grobie
Żałosny ojciec oddał nas Tobie,
I prosił dla nas o dobrą sławę,
O męztwo, w walce za słuszną sprawę,
I o wytrwałość w trudach cierpienia,
O dar mądrości i dar milczenia.
A o co prosił, od nas daleki,
U grobu Twego, u Twojéj rzéki,
Niech, święty Janie, w nas się to ziści,
Abyśmy wyszli od pokus czyści,
I z dobrą sławą przez życie przeszli,
I w niebo patrząc, w milczeniu zeszli!
Lub jeśli taka jest Boża wola,
Aby niejasna padła nam dola,
Jeżeli życie nam się zasępi,
Jeśli niewinnie świat nas potępi:
Wesprzyj nas wówczas, pociesz w sumieniu,
By krzywdy świata przetrwać w milczeniu.
Niech ta modlitwa, o święty Janie!
Z błogosławieństwem od ojca zlana,
Na zawsze w uściech naszych zostanie
I w pokoleniu będzie podana,
Jako nauka, prośba, przestroga,
Ku chwale Twojéj i ku czci Boga.

Dziś nie jest jeszcze *Czytelnia* na tym stopniu rozwoju, bo téż niełatwo od razu tak umiéć przejąć się zadaniem podjętém przez siebie, jak się niém przejął *Bruno Bielawski*, wydając pisemko dla ludu p. t. *Dzwonek*. Powiastki układa sam redaktor, a nadto *Wilkońska*, *Wal. Łoziński*, *Turski J. J.*, *Szujski i Lud. Leśniewska*. W r. b. ukazało się w Dzwonku kilkanaście takich powiastek. Prócz tego rady lekarskie z *Wielogłowskiego* pism czerpane, dawne przysłowia i przypowieści, prawdy gospodarcze, nakoniec różności, to jest: anegdoty i wiadomostki ze sfery wieśniaczéj brane, doniesienia o pożarach i inych klęskach, o postępkach zacnych i szlachetnych, zaokrąglają sferę wiedzy podawanéj ludowi, a raczéj pokoleniu drobnemu i warstwie służebnéj i rzemieślniczéj. Wieśniak, nie umiejąc po większéj części czytać, nie może korzystać z pism dla niego wydawanych, korzystają atoli dzieci i klassa niższa miejska, która z równymże pożytkiem czerpie w nich zdrowe zasady i utwierdza się w miłości bliźniego.

Między poezyami rzadko która umié zniżyć się i zastosować do pojęć i wyobrażeń ludu. Piszących je dla ludu nie mamy i miéć nie możem; lud sam śpiewa sobie lepiéj i zrozumialéj. Krótka, króciuchna piosnka, bez liryzmu, ale określająca jednę myśl lub jednę prawdę, wyśpiewana dorywczo, jasno, bez sztuki, przemawia do ludu najlepiéj. Jedyny, prawdziwy poeta wieśniaczy, *Teofil Lenartowicz*, umiał podsłuchać pieśń ludu i ustroić ją w szaty stosowne, a przecież pieśni jego nie są dla ludu. Umieścił tu piosenki: *Brat i siostra*, *Najcięższa łza*, *Nieszczęśliwa ręka*. Śliczne to obrazki, ale za strojne dla ludu.

Mieczysław Romanowski zamieścił wiérsz: *Na Nowy rok*, bardzo serdeczny, bardzo wspaniały nawet, ale za wysoko nastrojony; lud takich pieśni nie śpiewa. Są tu wierszyki *Juljana H.* (Dopomóż Boże), *Stef. W.* (Trzy palmy). *Grzesia z mogiły*, (O solarskiéj figurze, Śpiewka na wiosnę), *J. K. Turskiego* (Gniazdko bocianie), *Anny Libery* (Konik zwierzyniecki).

Wierszyki *Ludwika W.* odpowiadają zupełnie pojęciom ludu. Są one krótkie, treściwe, po prostu złożone, z chłopska humorystyczne, a zawierają naukę zrozumiałą, bez osłony.

Oprócz tych pism istnieją: *Przyjaciel domowy* i *Dodatek tygodniowy do gazety lwowskiéj*. Pierwszy, redagowany przez *Strymickiego*, ozdabiany drzeworytami, utrzymuje się nie doborem artykułów godnych uwagi, ale umiejętném gromadzeniem przedmiotów mogących zainteresować wiejskich gospodarzy; drugi pożądany jest dla osób specyalnie zajmujących się statystyką, historyą i bibliografią polską. Spisano tu 500 pism peryodycznych polskich, wyszłych w 61 miastach; teraz zaś drukuje się żywot Jerzego Ossolińskiego.

Obficiéj rozwija się dziennikarstwo we Lwowie, ale zażywniéj w Krakowie. *Czas* z dodatkiem miesięcznym niewiele zostawia do życzenia. Powaga tego pisma wyrobiła zdaniom jego pewne znaczenie. Nie unosi się ono ani gniewa, nie szarpie swoich i obcych, nie deklamuje dla przypodobania się prenumeratorom; wziętość jego urosła wewnętrzną zasługą. Ten jednak spokój, ten chłód ma i swoje *ale*. *Czas i dodatek* za mało garną ku sobie ogół piszących, a zbyt ograniczają się na kółku wybraném przez siebie, przez co przyoblekają się barwą jednostajności. Przyjmują prace obce, ale ich nie poszukują. Byłoby np. potrzebném i koniecznem zamawianie u osób fachowych rozpraw o języku o statystyce kraju, o scenie polskiéj i niemieckiéj i t. p. Napotykamy czasem coś podobnego, jak np. *Machalskiego* o języku polskim w sądownictwie, ale nie jest to ciąg rozpraw systematycznie, stale utrzymywany, lecz są to luźne rozprawy, umieszczane dopadkowo.

Tygodnik rolniczo-przemysłowy i *Ognisko* są pismami dotyczącemi zarówno rolnictwa jako i przemysłu. Redakcya ostatniego nie jest jeszcze taką jaką byćby mogła. Odcinek niedbały, prawie żaden; oddruk pobytu *Korzelińskiego* na wyspie Jersey zapełniał całą część literacką. Dobra to potrawa, ale ciągle nią fetować, to się i sprzykrzy nareszcie: albo odcinek literacki, albo żaden.

Tygodnik rolniczo-przemysłowy prawie nic do życzenia nie zostawia. Lwowskie towarzystwo gospodarcze liczy siedmiuset członków, a nie zdobyło się na nic podobnego. Widać niéma tam ludzi zdolnych do pisania, niéma liczby dostatecznéj wykształconych, aby zdołali pismo utrzymać.

Rozprawy tow. gospodarczego, dzieło doroczne, niekupowane, nieczytywane, nie są téż wystarczające. Wstyd to prawdziwy dla właścieli ziemskich; coś podobnego jak *Ognisko* zdałoby się i dla Lwowa. Obok tych pism miał zawiązać *J. K. Turowski* (pod którego firmą wychodzi *Biblioteka Polska*), pismo tuale-

towe *Niewiasta*. Niewielka szkoda że nie przyszło do skutku.

Oprócz tych wydawnictw, wymieniam ci *Roczniki tow. nauk. krak.*, rozszerzane w 120 egzemplarzach. Wstyd powiedziéć, ale to prawda, że kraj cały okazuje niesłychaną obojętność względem towarzystwa naukowego krakowskiego. Dziś kiedy uszczupliły się siły pracujące i zasoby materyalne, dla odżywienia sił ubyłych i dla wypełnienia warunków istnienia towarzystwa, w których przepisano pewną ilość członków winnych zgromadzać się na posiedzenia, bez czego towarzystwo zostałoby rozwiązane, musiano uciec się do środków nadzwyczajnych. Dopełniono zatém niedoboru przybraniem na członków ludzi światłych wprawdzie, ale bez zasług naukowych i bez rękojmi pracy naukowéj. Jeden wybrany dlatego, że miał pieniądze i że założył litografią, inny że uchodzi za geologa, bez okazania prac geologicznych, inni że są światłymi patronami, ale nie napisali dzieła żadnego i t. p. Nie są to kwalifikacye na członków towarzystwa naukowego; czuł to dobrze *Fran. Wężyk* i powiedział w ostatniéj swéj mowie: „A jeżeli nie wszyscy mają równie rozgłośne w piśmiennictwie imiona, wszyscy nam znani z miłości nauk i pracy, usprawiedliwić zdołają ten wybór.“

Podnoszę okoliczność tę nie dlatego, abym czynił zarzut pracującemu gronu, ale abym usprawiedliwił konieczność tego środka. W obec obowiązku zbierania się w oznaczonéj liczbie, musiano powołać na członków ludzi zacnych i światłych, choć nie erudycyjnych, ale zamieszkałych na miejscu, aby ci liczbą wypełniając warunek, tém samém wsparli byt towarzystwa. Nie zachwiało się ono jednak o tyle, aby mu wróżyć można upadek; przeciwnie, działalność jego jest skuteczniejszą, jawniejszą, czego dowód w zawiązaniu wystawy archeologicznéj, kommissyi do restauracyi pomników przeszłości, kommissyi balneologicznéj wydawaniu dzieł ściśle naukowych, jak np. prace *Steczkowskiego*, *Czerwiakowskiego*, *Berdaua* i t. d., nakoniec w budowie gmachu towarzystwa.

Gmach towarzystwa buduje się od lat dwóch; wyczerpnął fundusz składkowy 140,000 złp., a jeszcze nie dostaje mu wiele do skończenia. Gmach ten stał się koniecznością, odkąd usunięto towarzystwo z uniwersytetu. Biblioteka, muzea, nie mogą mieścić się w najmowanych lokalach i podlegać kaprysowi właściciela domu, który każdego czasu mógłby mieszkanie wypowiedziéć. Towarzystwo zresztą nie byłoby w stanie opłacać czynszu rocznego kilkunastu tysięcy złotych, bo funduszów niéma. Trzeba więc było uciec się do uczuć i współczucia kraju i budować gmach ze składek. U nas rozpoczęto od świetnych obiecanek, a potém wywodzono spory czy budowanie gmachu jest potrzebne lub nie? Ci co dać nie chcieli, dowodzili że towarzystwo nie potrzebuje gmachu; były to jednak dowodzenia w obronie własnéj kieszeni, a nie z przeświadczenia głoszone. Dzięki zabiegliwości sędziwego kasztelana *Wężyka*, spłynęły przecież składki, jak to mówią kapaniną. Niejeden z możnych, któremu wstyd było uchylić się od kwesty, nie dał pieniędzy, bo ich potrzebował na wyjazd za granicę, lecz dał na piśmie oświadczenie, że przyszle późniéj pewną ilość składkową. Czy myślisz że dotrzymali obietnic? Obietnica jest na piśmie, ale pieniądze nie pokazały się. Żleby wyszedł w dzisiejszych czasach diabeł, gdyby na mocy *verbum nobile* chciał u drugiego *Twardowskiego* upominać się o prawa swoje. Słowa szlacheckie skrewiły, a gmach towarzystwa stoi niedokończony, bo składki nie doszły, bo się na przyrzeczeniu słowem honoru i na obietnicach piśmiennych skończyło. Wstyd prawdziwy, wstyd dla kraju, że nie zdobędzie się na ratunek jedynéj instytucyi tutejszéj.

Zapędziwszy się do towarzystwa naukowego, radbym po kolei rozpowiadać ci i o innych towarzystwach, które więcéj hałasu robią, a mniéj owoców wydały. Co tknąć bowiem teraz, to wszystko zawiązuje się w spółki, assocyacye. Towarzystwo sztuk pięknych rozwija się, lubo malarze warszawscy, lwowscy a nawet krakowscy, słabo tylko raczyli tego roku zasilić wystawę, snadź lękając się niekorzystnego rezultatu z porównania ich prac z pracami mistrzów zagranicznych. Wstyd to, nie dla wystawy, ale dla tych, którzy lekceważą sposobność udowodnienia że nauczyli się czegoś więcéj, niż umieli w latach ubiegłych. Zawiązane oddawna towarzystwo wyścigów konnych, szczycące się niby dzielnemi stadninami, nasuwa niejeden humorystyczny, a jednak w głębi bolesny obra-

zek. Towarzystwo ogniowe, towarzystwo spółki rolniczéj, towarzystwo do poszukiwania nafty i t. p., są to materyały do sprawozdań nader obfite, ale ciebie bliżéj nie zajmujące.

Dlatego dopowiadam ci tylko jeszcze o dwóch pismach czasowych, które nie w Galicyi wychodzą, ale piórami tutejszych pisarzy są wspierane.

Cieszyńska gwiazdka, wydawana bez przerwy przez *Stalmacha*, podupadła na treści i wartości; wszelako utrzymanie jéj bytu, zdaniem mojém, nader jest pożyteczne. *Gwiazdka* rozbudziła na Szląsku uśpione życie literackie. Jestto potężny oddziaływacz przeciw letargowi moralnemu. Gwiazdkę wspierają pracami: *Bronisław Zamarski*, *J. K. Turski*, *Mieczysław D.*, *Józef Sęp*, *Wanda Dąbrowska*, *Jan Z.*, *Wierciszewski* i inni mniéj znani pisarze.. Oryginalną i interesującą jéj częścią są umieszczane tam rozmowy *Jura z Jankiem*, w narzeczu szląskiém opisywane.

O ostatniém piśmie czasowém wiedeńskiém p. t. *Postęp* niewiele powiedzieć ci mogę. Jeden z krytyków francuzkich dowcipnie rzekł o niém: *M. Osiecki a entrepris de publier un journal illustré „postęp," qui se traduit: progrès; mais il est inutile de le chercher dans ses colonnes.* Dobrą jego stronę wyłącznie prawie stanowi część traktująca o odkryciach i wynalazkach. Mimo tego jednak *Postęp* jest potrzebny i pożyteczny, ma bowiem podobne znaczenie co Gwiazdka cieszyńska. W Wiedniu mieszka stale kilka tysięcy rodaków,którzy oddani zajęciom domowym i mając pod ręką na miejscu nawał dzienników niemieckich, nie trzymali i nie czytali pism polskich. Postęp ma do 1500 prenumeratorów, a wychodząc w Wiedniu, wdarł się w grona polskie tam zamieszkałe, a to w takie grona, które nieraz jak rok długi nawet kalendarza polskiego nie oglądały. *Postęp* oddaje więc tym sposobem wielką przysługę prowincyi, bo wiąże ze światem literackim ten tysiąc lub więcéj czytelników, którzy zobojętnieli byli na język macierzysty.

Tyle o pismach czasowych. O drukach innnych nie powiem ci na ten raz nic, bo i tak za długo rozmawiam z tobą. Natarłeś na mnie abym ci co o teatrze i repertoarze opowiedział. Widziałem w Krakowie kilka nowych sztuk. Grano Pieńkowskiego: *Scena za sceną* i Małeckiego *List żelazny*. Najlepiéj grała Martę Monikowska, najgorzéj krajczego Janowski. Ładnowski popisywał się w *Berku odpieczętowanym*, będącym częścią drugą *Berka zapieczętowanego*. Ładnowski utworzył także dramat: *Twardowski*. W krótkim czasie pojawiło się w téj prowincyi dużo sztuk scenicznych, mimo że nie było ogłaszanych konkursów. *Wężyk* napisał dramat *Jadwiga*, *Szujski* w tych latach napisał ich z dziesięć, a jestto jeszcze nader młody poeta. *Zachariasiewicz* wykończa dramat *Iwonia. Kacper Zubowski* z Krakowa wydał niedawno dramat *Dwór pański* (wierszem w 3 aktach). *Walery Łoziński* napisał komedye: *Verbum Nobile*, *Parafianka we Lwowie*, *Literat. Karol Widman* komedye: *Mąż kusiciel*, *Protekcya. Dzierzkowski Józef* wystawił na scenie dramat *Iskra poezyi*. Również grano dramat *Hen. Nowakowskiego*: Dwa pożegnania. *Waligórski Fran.* napisał dramat *Branka* i komedyą *Dwa wesela*, mającą być wystawioną we Lwowie. *Wesołowskiego* komedyą *List gończy* mają grać w Krakowie. Słowem ruch w dziedzinie dramatu niezwykły, lecz czy produkcyjny, innym razem ci opowiem.

DWA WESTCHNIENIA.

OBRAZEK PRZEZ ANONIMA.

(*Dokończenie.*)

— Czy sądzisz pan, zawołała z pogardliwym uśmiechem, że stosunki nasze były prostym wypływem skłonności serca?.... Dowiédz się, że nigdy nie pomyślałabym podnieść cię aż do siebie, gdyby nie wyzwanie tego oryginała, fanatyka talentu, pana Kaźmirza, który chcąc cię oderwać od żony a powrócić sztuce, błagał mnie abym cię uwiodła za sobą.

— To wybieg niegodny! zawołał Edward, szarpiąc swoje piersi zaciśniętą dłonią.

— Nie panie, to jest najczystsza prawda. A jeżeli wydaje ci się dziwném takie posłuszeństwo z méj strony zamiarom pana Kaźmirza, to objaśniam je tém, że rzucono mi rodzaj wyzwania; utrzymywano, że jak pierwéj żonę, tak następnie i mnie opuścisz. Wyznaję, byłam szaloną przyjmując takie wyzwanie. Bo i cóż mnie zresztą mogło obchodzić takie lub inne mniemanie pana Kaźmirza o pańskiéj stałości i potędze mych wdzięków? Lecz złe się stało. Niezupełnie jednak winną jestem, bo nikt lepiéj nad pana nie wié, że wkrótce po przybyciu do Włoch, wyrzekłam się zamiaru wydarcia pana jego powołaniu i obowiązkom, że namawiałam cię ustawicznie do pracy, że pragnęłam zerwać łączące nas stosunki. Mój ostatni list jest tego najświeższym dowodem.

Edward nic nie odpowiedział, stał milczący i blady, jakby wszystka krew do serca mu zstąpiła.

W téj chwili baron, któremu tytuł narzeczonego dawał pewne przywileje w domu hrabiny, wszedł nagle do salonu. Poważny lecz podejrzliwy Niemiec spojrzał badawczo na Edwarda, i tém wejrzeniem zdawał się pytać zarazem hrabinę o wyjaśnienie.

— Ach! zawołała zmięszana cokolwiek Amelia, w sam czas przybywasz panie baronie. Właśnie mój współziomek, malarz, przybył w celu porozumienia się ostatecznego.

— O cóż? zapytał ciekawie Ortelsdorf.

— Ależ o zrobienie dwóch portretów, mego i pańskiego. Chciałam go prosić jednakże, aby dla oryginalności i dogodzenia mojemu kaprysowi, umieścił obydwa portrety na jedném płótnie. Gdyż pan baron jest moim narzeczonym, dodała zuchwale, patrząc w oczy Edwarda.

— Pomysł wyborny! zawołał Niemiec, całując rękę hrabiny.

Edward poczerwieniał nagle, a zdjąwszy medalion z miniaturą Amelii, który nosił na piersiach, rzucił go pod nogi hrabiny.

— Oto jeden portret już gotowy! zawołał ochrzypłym głosem. Portret zaś tego pana, dodał wyciągając groźnie rękę do stojącego obok barona, zrobię pędzlem ze stali, umaczanym w krwi jego!

— Gott bewahre! zawołał waleczny potomek Ortelsdorfów, cofając się za hrabinę.

Edward spojrzał na oboje, rozśmiał się szydersko i potrąciwszy nogą medalion Amelii, wyszedł powoli, nie wyrzekłszy ani jednego słowa.

Baron schylił się, podniósł medalion, obejrzał go, położył na stoliku, potém uśmiechnął się ironicznie i poufałém skinieniem ręki pożegnawszy hrabinę, chciał odejść.

— Co to ma znaczyć, baronie? zawołała Amelia, wychodząc z osłupienia. Pan odchodzisz?...

— Tak, piękna pani. Jadę dopędzić tego młodzieńca.

— Chcesz go pan zabić?

— Gott bewahre! Chcę go zaprosić do siebie na małą kawalerską kolacyą. Jeżeli chcesz się dobrze zabawić i ucałować nas obu na wety, to przybądź tam wieczorem, piękna pani.

Hrabina zbladła jak ściana i wydała głuchy krzyk wściekłości.

Baron poważnie wyszedł z salonu.

* * *

W połowie października tegoż roku, po platformie dworca kolei żelaznéj w Warszawie przechadzał się pan Kaźmirz. Stary oryginał miał jakiś niespokojny wyraz twarzy i co chwila zatrzymywał się przy latarniach i oświeconych oknach bufetowéj sali, patrząc na zégarek.

— Już dwunasta wkrótce, pomruknął niecierpliwie. Ten pan konduktor zapewne szydził ze mnie; twierdząc że pociąg z Granicy przychodzi o północy.

Przeciągły lecz odległy świst lokomoty wydał się słyszéć nagle. Pan Kaźmirz zadrżał i spytał biegnącego po platformie konduktora o znaczenie tego sygnału.

— Pociąg z Granicy przychodzi, odpowiedział spiesznie zapytany i pobiegł do dzwonka.

Wkrótce na opuszczonéj dotąd platformie wszczął się ruch gwałtowny. Służba kolei i konduktorowie przebiegali długą płaszczyznę w rozmaitym kierunku. Po kilku chwilach takiego krzątania się, drugi, lecz bliższy już świst dał się słyszéć, a wkrótce ziejąca ogniem lokomotywa, wlekąc za sobą szereg wagonów, zatrzymała się przed domem stacyjnym.

Pan Kaźmirz stanął przed powozami drugiéj klassy i niecierpliwie przeglądał tłumy podróżnych wysiadających powoli. Nagle ktoś dotknął się jego ramienia. Pan Kaźmirz obejrzał się i pod cieniem skrzydeł czarnego włoskiego kapelusza poznał bladą twarz Edwarda.

— Bogu niech będą dzięki! Przybyłeś nakoniec! zawołał otwiérając ramiona.

Lecz młody malarz nie pochylił się w objęcia swojego protektora, podał mu rękę i spytał zimno:

— Czy masz pan powóz gotowy?

— Stoi przed dworcem. Czekam tu od godziny. Jakże się miéwasz, mój młody przyjacielu? Ach! dodał z zapałem, twoja madonna jest arcydziełem! Winszuję ci, winszuję!

— Więc pan już odebrałeś nadesłany przezemnie pakunek?

— A jakże! a jakże! Już pięć dni temu odebrałem te skarby, a cudowna madonna, objęta w przepyszne ramy, stoi u mnie od wczoraj. Prześliczny obraz! Chociaż draperya z lewéj strony madonny i jedna stopa dziecięcia....

— To dobrze! Dziękuję panu. A teraz, jedźmy!

—Gdy powóz ruszył z miejsca, Edward zapytał po chwili wahania:

— Czy uprzedziłeś pan moję żonę że dzisiaj przybędę?

— Niezupełnie, mój młody przyjacielu.... To jest obawiałem się, aby jakieś nieprzewidziane opóźnienie z twéj strony nie pogorszyło jéj stanu.

— Więc Leontyna jest chora! zawołał gwałtownie malarz.

— Ależ nie! uspokój się! Żona twoja zdrowa jest zupełnie, tylko pojmujesz, że karmiąc sama twojego syna, musi wystrzegać się wszelkich gwałtownych wzruszeń.

— Mojego syna! wyszeptał Edward, zakrywając twarz rękami.

Obydwaj umilkli. Powóz, rozpędzony szybko, zatrzymał się wkrótce przed jedną z kamienic Nowego-Świata.

— Wysiadajmy, rzekł pan Kaźmirz, otwiérając drzwiczki.

Edward z machinalném posłuszeństwem wyskoczył z dorożki, pan Kaźmirz zadzwonił silnie i wkrótce lokaj otworzył bramę, trzymając światło w ręku.

Po chwili obaj znaleźli się w ciepłém i wygodnie umeblowaném mieszkaniu, którego wszystkie ściany zawieszone były obrazami znakomitéj wartości.

— Gdzież jesteśmy? zapytał przychodząc do siebie Edward.

— Jesteśmy w mojém artystyczném mieszkaniu. Rozgość się tu, mój młody przyjacielu, ja tymczasem przygotuję ci posiłek.

— Dziękuję panu! niczego mi nie trzeba. Zresztą, dodał po chwili namysłu, natychmiast wyjdę.

— Dokąd?

— Czyliż pan możesz pytać? Dokąd pójść powinienem, dokąd wyrywa się cała dusza moja! zawołał niecierpliwie młodzieniec.

— Ach! tak, rozumiem. Lecz.... mój młody przyjacielu, zdaje mi się że ci już przedstawiłem niebezpieczne skutki powitania tak nieprzygotowanego. Wierz mi, że podobne wzruszenie mogłoby.... zaszkodzić bardzo twojéj żonie.... Ona jest tak nerwową.... Mówiłem nawet z doktorem w tym względzie.

— Niebezpieczeństwo! Doktór! Zawołał Edward. Potém, chwytając silnie ramię pana Kaźmirza, dodał groźnie: Pan mnie zwodzisz! Leontyna jest bardzo chora, lub może.... Zatrzymał się przez chwilę, pierś jego podniosła się gwałtownie, w oczach ponury blask iskrzył się niespokojnie.

— Ależ przysięgam ci mój chłopcze, zawołał pan Kaźmirz, że twoje obawy nie mają żadnéj zasady. Powtarzam ci, że twoja żona jest zdrowa; widziałem ją wczoraj jeszcze, a szanowna jéj matka najtroskliwiéj czuwa nad nią i nad wnukiem. Lecz powtarzam i to również, że jeśli nagle, śród nocy, nieprzygotowanych przebudzisz, mogą ztąd wyniknąć najsmutniejsze skutki. Uspokójże się wreszcie!

— Dobrze, więc nie przebudzę jéj, nie wejdę dzisiaj pod ten dach błogosławiony.... lecz pójdę tam natychmiast i będę patrzył w ich okna....

— Ależ, mój młody przyjacielu....

— Nie zatrzymuj mnie pan! Sądzę że mam prawo czynić co mi się podoba....

— Lecz.... ozwał się niechętnie p. Kaźmirz, widząc że Edward na seryo wyjść zamyśla.... nie sądzę ażebyś chciał stać w nocy pod oknami pustemi, bowiem zapomniałem ci powiedzieć, że żona twoja zmieniła mieszkanie.

— I dokąd się przeniosła? zapytał niespokojnie Edward.

— Dowiész się wszystkiego, lecz uspokój się piérw

— Chcę wiedzieć natychmiast!

— Jesteś szalony, mój młody przyjacielu. Żona twoja uparła się koniecznie.... mimo wszelkich uwag z méj strony i chęci ułatwienia jéj chwilowych kłopotów....

— Kończ pan!

— No, powiadam więc, że uparła się zamieszkać twoje dawne, kawalerskie schronienie.

— Poddasze! zawołał Edward, załamując ręce. A więc to nędza zmusiła tę biédną kobiétę do opuszczenia dachu, pod którym jéj syn się urodził; nędza, w którą wtrąciła ją moja podłość i twój podstęp piekielny!... O! strzeż się pan, zawołał chwytając ramię starca, i dziękuj twoim siwym włosom że....

— A to skaranie Boże! zawołał pan Kaźmirz, wyrywając ramię z żelaznego uścisku malarza. Doprawdy ten człowiek jest szalony! Czyliż to moja wina, dodał żywo, że pańska żona nie chciała przyjąć odemnie pieniędzy, które jéj w najdelikatniejszy sposób, pod pozorem rachunków między mną a panem istniejących, ofiarowałem. Czyliż to moja wina, że chciałem cię widzieć wielkim artystą?...

— Artystą! zawołał Edward. Więc to dlatego poważyłeś się zniszczyć spokój i szczęście téj niewinnéj istoty? Dlatego postanowiłeś mnie upodlić?... Lecz się omyliłeś, mój panie. Bóg miłosierny inaczéj zdziałał. Już tu niéma artysty! skrzydła jego natchnień złamało poniżenie i rozpusta, pozostał tylko człowiek, który będzie kochał te szlachetne istoty, pozostał rzemieślnik, który zapracuje na ich chléb skromny. Słuchaj pan, rzekł daléj, spokojnie i uroczystym głosem. Ta kobiéta, w któréj nieczyste ręce popchnąłeś mnie, powiedziała mi wszystko. Chciałeś pan rozłączyć mię z rodziną, ażebym za to gromadzie głupców malował twarze płócienne.

— To jest bluźnierstwo! zawołał pan Kaźmirz. Nie pojmujesz godności sztuki i nie pojmujesz że malując twarz człowieka, idealizując jego postać, uszlachetniasz jego ciało duchem twoim, że sława jest córą nieba. Bluźnisz młodzieńcze!

— A któż to panu dał prawo przesądzać co jest istotnym obowiązkiem człowieka i jakich wolno mu używać środków do spełnienia swoich celów? Ty to raczéj bluźnisz, starcze sfanatyzowany marzeniem! bo nam dzisiaj nie głośnych imion, ani sławnych artystów, lecz ludzi uczciwych i szlachetnych czynów potrzeba. Życiem zacném i surowém pojęciem obowiązku, wszyscy umalujemy nasze oblicza wyrazem takiéj piękności, że rozkochamy w sobie ludzkość całą, a wtedy ten piękny posąg, ta szlachetna Galatea nasza, może się odżywi pod tchnieniem miłości Pigmaliona.... Nic nie znaczą malowane ideały, jeżeli ich piérwowzory nie istnieją w życiu! Historya takiego płóciennego malarstwa będzie tylko historyą marzeń artystów, nie zaś dziejami społeczeństwa uświęconego przez sztukę. Sława mówisz? zawołał ze wzrastającym zapałem. A któż ci powiedział, że ten wielki Bóg, Stwórca niezliczonych słońc i światów, uzna sławniejszym artystą marzyciela, nad prostego, z paciérzem w ustach pracującego ojca rodziny? I cóż wreszcie znaczy ten czczy wyraz, to echo chwilowego poklasku ludzi? Precz odemnie z pokusą sławy! Artysta nie o sławę, lecz o miłość u ludzi starać się powinien!

— Ależ, mój młody przyjacielu.... jedno da się pogodzić z drugiém. Rozważ tylko....

— Skończyłem już! rzekł zimno, pohamowany w uniesieniu malarz. Z tego co powiedziałem domyślisz się pan, że nie mogę dłużéj zostać pod twoim dachem. Nasze stosunki ustają od téj chwili. Zrywam z moją przeszłością! Żegnam pana!

— Ha! skoro tak chcesz koniecznie, idźże więc, rzekł zamyślony i smutny starzec. Już tylko o jednę rzecz prosić cię będę.

— Czego pan żądasz odemnie?

— Racz mi sprzedać ten obraz, który tu stoi od wczoraj. Ocenię go drożéj niż ktokolwiek inny, chociaż lewa draperya i stopa dziecięcia wymagają wykończenia....

— Nigdy, panie! przerwał Edward. Ta madonna nie jest do sprzedania. Ofiaruję ją ubogiemu kościołowi wiejskiemu w parafii gdzie się urodziła Leontyna. Tam jéj nie dojrzy kramarski wzrok zbiéraczów. Tam będzie ona tylko pokorną z méj strony ofiarą, modlitwą pokuty! Zabiorę ten obraz przededniem jeszcze. Żegnam pana!

— Oh! on jest artystą! On będzie wielkim artystą! zawołał ze łzami w oczach pan Kaźmirz, po wyjściu Edwarda. Tylko odtąd już nie ja, starzec niedołężny i uparty, lecz Bóg dobry prowadzić go będzie.

* * *

Nazajutrz prześliczny dzień jesienny zajrzał w okna poddasza, które młody malarz niegdyś pożegnał tak czule, idąc przed stopnie ołtarza, by podać rękę ukochanéj dziewicy, ubogiéj jak on sierocie. W jednym z dwóch pokoików składających to skromne mieszkanie, w wygodném krześle, stanowiącém sprzeczność z resztą ubogich sprzętów, siedziała Leontyna, trzymając na ręku prześliczne dziecię.

Twarz młodéj matki miała wyraz smutku i rezygnacyi; tęskny uśmiéch rozjaśniał jéj lica, ilekroć spojrzała na uśpionego syna, a jednocześnie gorące, urywane westchnienie podnosiło jéj piersi.

Leontyna zmizerniała bardzo. Jéj oczy otoczył jakiś cień łzawy, a po czole płynęła jakaś zmarszczka, jak wązkie pasmo chmury po niebie pogodném.

— Mój Boże! Już tak późno, a mama nie wraca z miasta, wyszeptała cicho, zwracając się do wiejskiéj dziewczyny, służącéj za piastunkę dziecięciu.

— Pani starszéj tylko co nie widać, odrzekła sługa, bo już czas nastawiać obiad. Południe za pasem....

— Doprawdy? Więc spałam dziś długo?

— O! Pani dzisiaj doskonale spała!

— To téż czuję się zdrowszą. Jaki dzień piękny, dodała spogladając w okno, przez które padał na pokój strumień słonecznego światła.

— Śliczna pogoda dzisiaj i na dworze ciepluchno! Ale..... ktoś tam wszedł do piérwszéj izby. To pewnie starsza pani....

— Pójdź, zobacz kochanko.

W téj chwili drzwi od piérwszego pokoiku, który dawniéj służył za pracownię Edwarda, otworzyły się i matka Leontyny weszła.

— Ach, mamo! Już tak późno, a ja dotąd nie jadłam śniadania. Mały Edzio na tém ucierpi....

— Oto masz szklankę mléka, biedaczko! Wypij tymczasem.... Dobrze.... A teraz, dodała staruszka z tłumioném wzruszeniem, musisz się okryć futrem i zabrawszy Edzia, pojechać zemną na spacer.

— Mama żartuje ze mnie, rzekła zdziwiona Leontyna.

— Wcale nie żartuję; tylko że spacer ten ma swój cel konieczny. Wyobraź sobie, mój aniołku, przybył tu z zagranicy bardzo sławny lekarz, który przyrzekł mi uzdrowić cię zupełnie. Pojmujesz, że nie chcąc wprowadzić go pod strych, musimy udać się do jego mieszkania.

— Na co mnie doktór? mój Boże!

—Leonciu! Moje dziecko drogie! Zrób to dla matki, jedź ze mną! Zobaczysz że za to Bóg ci powróci zdrowie i szczęście....

Leontyna zdumiona spojrzała na matkę, a widząc łzy w jéj oczach i jakiś zapał niezwykły, rzekła z uśmiéchem:

— Zgoda moja mamo, gdy tak chcesz koniecznie. Lecz, po cóż mamy brać Edzia?

— Doktór chce również zobaczyć dziecię.... Nalegał oto.

— Ha! skoro tak....

W kilka chwil Leontyna, ubrawszy siebie i otuliwszy synka, którego podała matce, zeszła powoli ze schodów trzeciego piętra.

Przed domem stała najęta kareta. Obiedwie kobiéty wraz z dzieckiem wsiadły. Woźnica wziął bicz do ręki.

— Zaczekaj! zawołała staruszka nagle, jakby uderzona nową myślą.

— Co pani rozkaże? zapytał woźnica.

— Jedź na Leszno, nr 709, po lewéj stronie ulicy.

Konie ruszyły kłusem.

— Ależ mamo, dałaś mu numer mieszkania, które opuściliśmy od dni kilku.

— Tak moje dziecko, bo namyśliłam się i sądzę że niewłaściwém będzie jechać z dzieckiem do hotelu, gdzie doktór mieszka. Możemy go przyjąć w dawném mieszkaniu, które stoi dotąd nienajęte, tém bardziéj, że gospodarz nie będzie miał nic przeciw temu. Mam nawet z sobą klucz, który mi powierzył dzisiaj.

— I po cóż tam byłaś, moja mamo?

— Kazałam ogrzać pokoje. Lękałam się ażeby nie rozeschły się nasze meble, które, jak wiész, zostawiliśmy na miejscu, jako rękojmię zapłaty komornego za ubiegły kwartał. Tak więc wszystko dobrze się złożyło i będziemy mogły przyjąć pana do w mieszkaniu przyzwoitém i ciepłém.

— Jak chcesz, mamo!

Gdy powóz zatrzymał się przed dawném mieszk niem Leontyny, które dopiéro od kilku dni opuści chroniąc się z początkiem kwartału na ubogie po dasze, młoda kobiéta doznała przykrego wrażen W tym domu zbiegły jéj najpiękniejsze życia godz ny. Tu pożegnała niewdzięcznego męża, tu jéj dzie cię zapłakało i uśmiechnęło się raz piérwszy!....

Leontyna drżącym i niepewnym krokiem weszła do pustego saloniku.

Matka, umieściwszy na kanapie uśpione dziecię, posunęła krzesło Leontynie i śledziła ją niespokojném wejrzeniem.

Młoda kobiéta usiadła. Przez chwilę oczy jéj spuszczone w ziemię ćmiła pomroka łez.

— No! rozwesel się moja biédaczko! rzekła wzruszonym głosem staruszka i powiédz mi, co myślisz o tym obrazie? dodała wskazując na sztalugi, na których umieszczony obraz madonny z dziecięciem, błyszczał w silném świetle.

Leontyna podniosła oczy, spojrzała na obraz i zbladła.

— Co to ma znaczyć, mamo! zawołała, usiłując powstać. Ten obraz.... Mój Boże!... Mój Boże!...

I patrzyła w twarz matki, niespokojna, wzruszona..

— Ten obraz, moje dziecko, przywiózł z zagranicy ów doktór, przywiózł go dla ciebie. Cóż myślisz aniołko moja? czy twarz madonny nie dowodzi, że malarz który ją taką utworzył, myślał o tobie często, że nie zapomniał twoich rysów, bo je w sercu nosił?

Leontyna patrzyła ciągle w oblicze madonny. Łzy obfite spadały z oczu biédnéj kobiéty. Wreszcie zakrywając twarz rękami, zawołała boleśnie:

— Oh! Edwardzie! Edwardzie!

Przytłumione łkania ozwały się za drzwiami sypialni.

— On tu jest! zawołała Leontyna, podnosząc się nagle.

— Moje dziecię! Uspokój się.

Lecz Leontyna wyciągnęła rękę ku drzwiom sypialni, i z tą siłą, którą Bóg wléwa w serca niewinne i zranione, ozwała się głosem spokojnym:

— Pójdź Edwardzie!

W jednéj chwili drzwi się otworzyły, i malarz, zalany łzami, przycisnął żonę do piersi.

Młoda kobiéta, milcząc, zaprowadziła go do miejsca, na którém leżało uśpione dziecię. Oboje uklękli, a Leontyna, wsparłszy głowę na piersiach Edwarda, wyszeptała cicho:

— Proś i jego, niech ci przebaczy!!!

I znów, jak dawniéj, z dwojga piersi, z dwóch serc uleciało jedno złączone westchnienie..... przebaczenia i żalu...

Takiém westchnieniem odetchnęła pierś piérwszego chrześcianina, odstępującego od stołu Pańskiego, z hostyą w ustach, z Bogiem w sercu.

* * *

Nazajutrz Edward odebrał od pana Kaźmirza list następującéj treści, datowany z dnia poprzedzającego:

Mój młody Przyjacielu!

W chwili gdy przeczytasz te wyrazy, już będę w podróży. Wyjeżdżam do Hiszpanii. Zobaczę tam kilka obrazów Murilla i Velasqueza. Następnie mam stały zamiar popłynąć do Ameryki, aby się przekonać czy natura tamtejsza istotnie umié malować wspanialsze jak u nas krajobrazy. Zapewne nie spotkamy się już w życiu. Wyrządziłem ci wiele złego i przekonałem się żem zbłądził, chcąc kupić dla sztuki artystę, za cenę uczciwości człowieka. Przebacz mi! Odjeżdżając, zostawiam ci zbiór obrazów w mojém mieszkaniu. Wydadzą ci je z mojego rozporządzenia. Dzieła te mają znakomitą wartość. Przeznaczam je dla twego syna, któremu chciałem odebrać ojca. Pracuj, mój młody przyjacielu, i kochaj rodzinę; twoje serce mędrsze od mego rozumu. Bądź zdrów!

NB. Jeżeli trwasz zawsze w zamiarze ofiarowania twojéj madonny do wiejskiego kościołka, to zaklinam cię abyś upatrzył dla niéj suchą ścianę w ołtarzu. Obraz mógłby uszkodzić się, a wierz mi, że jest bardzo piękny. Zawsze jednak utrzymuję, że lewa draperya i stopa dziecięcia potrzebują wykończenia.

KONIEC.

DONIESIENIA.

ZNAKOMITE ZBIORY ARTYSTYCZNE
pozostałe po
śp. Janie Feliksie PIWARSKIM
składające się:

1. Z wielkiéj i rzadkiéj kollekcyj rycin i rysunków, tak krajowych, jako też i zagranicznych artystów. — 2. Z obrazów olejnych, gwaszów i akwarelli, dawniejszych i nowszych mistrzów.—3. Z własnych prac i różnoczasowych wydawnictw śp. Piwarskiego. — 4. Z modeli gipsowych i wzorów rysunkowych dla kształcéj się w sztuce młodzieży. — 5. Z znacznego księgozbioru, odznaczającego się dziełami nauki wyższemi, szczególniéj dla rysowników, malowniczych, inżenierów i techników. — 6. różnych utensyliów i materyałów artystycznych, są do nabycia z wolnéj ręki, w domu nro 1 (36 nowy), przy ulicy Nowy-Świat na 2m ze gdzie dzwonek na lewo, od godziny 9 rano do 7éj wieczorem.

Do księgarni **G. Gebethner** i spółki w Warszawie, J. **Zawadzkiego** w Wilnie i **L. Idzikowskiego** w Kijowie, oddane na skład główny następujące wydane dwa w Petersburgu dzieła: Zasady ekonomii politycznéj J. S. Milta, tłumaczenie z angielskiego, 2 tomy str. 428 i 559 Cena rs. 2 kop. 40.—Litość w stosunku do cywilizacyi, Dra Pernera, tłumaczenie z niemieckiego, str. 152. Cena kop. 25.

NAKŁADEM KSIĘGARNI
KAROLA BERNSTEJNA,
przy ulicy Miodowéj Nr. 6
wprost kościoła OO. Kapucynów,
wyszła w staranném wydaniu i wesołéj treści książeczka dla dzieci pod tytułem: „Przygody karzełka przez K. Wesołowską, z 15 drzeworytami w tekscie; książeczka powyższa sprzedaje się po nader nizkiéj cenie, bo tylko za egzemplarz z czarnemi rycinami po kop. 25. z kolorowemi zaś po kop. 30, i dostać jéj można we wszystkich księgarniach w Warszawie, na prowincyi zaś u Hurtiga w Kaliszu, u Arzta w Lublinie i u Możdżeńskiego w Kielcach.

ZARZĄD
MŁYNA PAROWEGO
W ZEGRZYNKU
NAD NAREWIĄ.

Celem usposobienia krajowców w sztuce młynarskiéj, Dyrektor młyna parowego potrzebuje trzech młodych ludzi, na cztero do pięcio-letnią praktykę. Że zaś wyrobić ich pragnie na zdolnych pomocników technicznych, tak zwanych czeladników, z którychby z czasem właściciele upowszechniających się teraz poprawnych młynów, mogli mieć zawiadowców technicznych, tak zwanych majstrów, a nawet i Dyrektorów przeto kandydaci w wieku od 15 do 18 lat winni posiadać świadectwa z ukończonych 4 klass i mieć wrodzoną zdolność i wytrwałość do pracy ręcznéj.

Na utrzymanie każdy z uczniów otrzyma po 50 złp. miesięcznie, a stósownie do okazanéj chęci i zdolności, nawet przez ciąg praktyki, zostanie od czasu do czasu sposobem gratyfikacyi tak wynagrodzony, aby po roku pilnéj pracy nie był już ciężarem familii.

Chcący wstąpić na praktykę, winien zgłosić się z rodzicami lub opiekunami do dyrektora zakładu A. Łapińskiego w Zegrzynku, lub w Warszawie, do domu P. Neybaur, na placu Dzieciątka Jezus.

MAGAZYN MEBLI
ROBÓT TAPICERSKICH I DEKORACYI
KAROLA HAUBOLD.
ulica Nowo-Senatorska Nr 476 lit. d

Ma honor zawiadomić JW. WW. Panów że po powrocie z Paryża powiększył Magazyn swój, znacznym wyborem mebli do salonów, buduarow, sypialnych i jadalnych pokoi, sprowadził modele i żurnale Paryzkie, oraz z znaczniejszych stolic, wszelkich mebli i dekoracyi, firanek tudzież podkłady paryzkie nowego wynalazku, pod materace, na patentowanych sprężynach; przyjmuje wszelkie obstalunki w Królestwie i Cesarstwie, utrzymuje ciągły abonament żurnali Paryzkich.

PATENTOWANA FABRYKA
FARB I LAKIERÓW
J. A. KRAUSSE
ulica Bonifraterska Nr. 2163, wprost Kościoła,
SKŁAD GŁÓWNY
ulica Miodowa Nr. 484, wprost Rządu Gubernjalnego, poleca wyroby swoje przy właściwéj porze roku,
a głównie:
PATENTOWANE LAKIERY
i
FARBY OLEJNE
TARTE, PRĘDKO SCHNĄCE,
we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach,
wprost do użycia przyrządzone, tak, iż każdy najmniéj obeznany z malowaniem, może je z łatwością używać, do przyozdabiania i ochrony od zniszczenia wszelkich przedmiotów z drzewa lub metali i t. p., na działanie powietrza wystawionych.

FARBY te i LAKIERY, są bardzo pożądane na prowincyi, gdzie w dokładném ich przyrządzaniu wielka trudność zachodzi.

Sprzedają się w wielu HANDLACH i SKŁADACH w Warszawie, oraz we wszystkich miastach na prowincyi.

Wszelkie obstalunki, tak FABRYKA jak i SKŁAD GŁÓWNY, przyjmuje i załatwia, ze znaną akuratnością, rzetelnością i pośpiechem

UWAGA.—FABRYKA poręcza za dobroć swoich wyrobów, które na pierwszy rzut oka łatwo można odróżnić od naśladowanych przez zwrócenie uwagi na wydruk MEDALU (za dobroć wyrobów otrzymanego na Wystawie Krajowéj), umieszczany na wszystkich etykietach.

„Grand hôtel de belle Vue“
w mieście Bonn n. Renem
przy samym brzegu Renu, w blizkości kolei żelaznéj i przystani statków parowych, poleca się wspaniałém i nader zdrowém położeniem swojém, czarującym widokiem na góry i nadreńską okolicę, zarazem eleganckiém urządzeniem wszelkich wygód i wzorową usługą przy umiarkowanych cenach.

Bonn w maju 1860 r. N. *Stamm*, wdowa.

LEON FEINTUCH
W KRAKOWIE,
w Rynku głównym przy wchodzie w ulicę Grodzką w domu własnym Nr $23^4/_8$,
poleca przejeżdżającym przez Kraków szanownym P. P. Obywatelom z Królestwa i Cesarstwa swój wielki i doborowy
Skład najrozmaitszych towarów Galanteryjnych, najnowszych artykułów paryzkich i angielskich.

Między innemi:
Kufry męzkie, damskie i ręczne, z skór prawdziwych juchtowych i innych.
Torby skórzane i dywanowe do zamykania, od najmniejszych do największych jakoteż torby z kuferkami.
Necessery (Trousses) męzkie i damskie z urządzeniem od złr. 2 do złr. 30.
Toaletki i Necesserki rozmaite do robót damskich.
Pularesy, portefeuilles, portmonetki, sakiewki i różne torbeczki na pieniądze.
Cygarówki od bardzo eleganckich do zwyczajnych i tanich.
Cygarniczki piankowe, bursztynowe i szyldkretowe w wielkim wyborze, tudzież cybuchy (antybki) i stambułki
Makintosze jedwabne i plaidy wełniane prawdziwe angielskie, rzemienie do tychże i szale mniejsze, (tak zwane cachez-nez).
Bielizna męzka paryzka.
Kapelusze męzkie Panama ubierane od złr. 3 do złr. 25, tudzież kapelusze jedwabne męzkie, w najnowszym fasonie po złr. 6, 7, a złr. 10 za prawdziwe paryzkie; również takie Chapeaux mecaniques (składane) i filcowe okrągłe, kapelusze węgierskie i rozmaite inne.
Czapki mylord, korcikowe, materyalne i inne najnowszego fasonu.
Krawatki najrozmaitsze i szaliki do spilek dla mężczyzn.
Rękawiczki skórkowe pragskie, paryzkie, Jurena i wiedeńskie Jaquemar, jakoteż zimowe.
Lorynetki teatralne w wielkim wyborze większe i duchesse, pince-nez, okulary ect.
Parasole angielskie. Parasolki damskie najnowsze, en-toutcas, z ciężkiéj materyi z wrabianą bordurą po złr. 5, mniejsze po złr. 3, 25.
Skarpetki niciane i bawełniane, tudzież takież ponczochy damskie.
Prawdziwe paryzkie i angielskie parfumerye, mydełka, pomady, fixatoary, Extrait triple d'odeurs, Vinaigr de toillete etc. we wszystkich zapachach i prawdziwa woda kolońska.
Kapelusze damskie słomkowe wiedeńskie i paryzkie w najnowszym fasonie ubierane, nieubierane, aż do najtańszych.
Kapelusze Amazone, pióra strusie i plumes de Cod.
Kwiaty i gerlandy paryzkie i wiedeńskie.
Biżuterye w najlepszym guście męzkie i damskie najnowsze jakoto: branzoletki, broszki, spinki, guziczki, aliansy, spilki dla mężczyzn i dam, medaljony breloki ect-ect.

Nadzwyczaj wielki wybór przedmiotów stolarszczyzny galanteryjnéj; jakoto: skrzyneczki, skarbonki i kaszetki na cygara, na herbatę, cukier i arak, na rękawiczki, na biżuterye, na perfumy, z drzewa rozmaitego, nie obijane i bogato złoconym bronzem obijane.

Rozmaite najnowsze utwory artystyczne paryzkie, galwano plastyczne, wyroby z drzewa, z prawdziwego bronzu złoconego i oxydowane z żelaza i argent plaque, w większych i mniejszych sztukach tak do użytku jako też do ozdoby tak zwane petits riens.

Wazony, figury mniejsze i większe i rozmaite przedmioty z porcelany francuzkiéj.
Lampy do oleju z zaręczeniem doskonałości.
Grzebienie szyldkretowe z kości słoniowéj i rogu, tudzież szczoteczki do zębów, do rąk i do włosów, jakotéż szczotki do sukien
Papier listowy, koperty, pióra stalowe, ołówki Noles ect.

Oprócz tych towarów utrzymuje się w tym składzie:

Wielki wybor przerozlicznych zabawek dla dziecj, tudzież wiele innych artykułów jakoto, wstążki w deseń i gładkie, rozmaite obszycia dla męzkich robót krawieckich, guziki, tarletany: tiule od najwęższych do 6 łokci szerokości, hafty, koronki prawdziwe i imitowane, tiule i Mule deseniowane na rękawki dla dam ect. Noże i widelce, brzytwy, scyzoryki paski Goldschmida do ostrzenia brzytew, towary stalowe i pakfonowe angielskie, również wyroby argent plaque panów Ch. Christofleret, Cie rue de Bondy 56 w Paryżu.

Gdy teraźniejszy kurs waluty austryjackiéj jest nizki, iż rubel papierowy plus minus złotych 8 czyli reńskich 2 czyni, gdy oprócz tego przez przyjętą i utrzymywaną zasadę kontentowania się jak najmniejszym zyskiem przy cenach stałych (wyraźnie na każdym przedmiocie naznaczanych), dla każdego kupującego nawet w razie nie znania się na towarze są rękojmią, iż obciążonym być nie można, przeto wszelkie towary, (jedynie w najlepszym gatunku sprowadzone) tak wiedeńskie jako i zagraniczne w Krakowie najkorzystniéj w tym handlu zakupić można.

Nakładem J. Ungra w Warszawie wyszło dzieło
W CZTERECH TOMACH
POD TYTUŁEM
WYKŁAD PISMA ŚWIĘTEGO
NOWEGO ZAKONU,
A MIANOWICIE:
WYKŁAD CZTERECH EWANGELIJ I DZIEJÓW APOSTOLSKICH
PRZEZ
KSIĘDZA WALERYANA SERWATOWSKIEGO,
byłego professora Teologii w Tarnowie, Sekretarza Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, Członka Kommissyi Archeologicznéj wileńskiéj,
dedykowane JWmu Metropolicie Arcy-biskupowi Warszawskiemu.

Najważniejszém zaiste w dziejach rodu ludzkiego i największéj godném uwagi zdarzeniem, jest życie Zbawiciela Świata Jezusa Chrystusa, i pierwsze początki utworzenia kościoła Jego. Któryż oświeceńszy chrześcianin nie pragnie z samego źródła zaczerpnąć wiedzę o życiu, naukach, cudach, o śmierci ofiarnej, o zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu, tego najdroższego naszego Pana, którego widzialna bytność na ziemi, nietylko stała się wzorem prawdziwego postępu w udoskonaleniu ducha, dla każdego w szczególności człowieka, ale oraz już przez to samo wywarła tak niezmierzony a widoczny wpływ na całe ludzkie plemię, iż z nim nic innego na ziemi w porównanie iść nie może? Przeto nie sami tylko duchowni, ale oraz i świeccy, głębszéj religijnéj szukający oświaty, i jak najsilniejszego w wierze przekonania powszechne objawiali życzenie, mieć w ojczystém języku *Wykład Pisma Świętego*, któryby im ułatwił czytanie i zrozumienie onegoż. Widząc tedy tak wielką tego potrzebę i duchowny pożytek, a zupełny brak takiego dzieła w polskim języku, podjął się ksiądz W. Serwatowski téj pracy, i przy łasce Bożéj do skutku ją doprowadził, gdyż najważniejsza jéj część, to jest wykład całego prawie Nowego Zakonu, została już wydaną, a powtórne wydanie *Wykładu Czterech Ewangelji i Dziejów Apostolskich* okazało się potrzebne. W tym wykładzie, nie będącym tłumaczeniem, ale oryginalną pracą, usiłował autor mową zwięzłą i popularną, nietylko rozgmatwać wszelkie zawiłości, bądź ze wschodniego sposobu mówienia i pisania, bądź z ówczesnych mniéj nam znanych zwyczajów i stosunków towarzyskich wynikające, ale oraz objaśniać i udowadniać zasady wiary świętéj, i wznosić ducha czytelnika do Boga, i do zamiłowania świętéj chrześciańskiéj doskonałości. Chcąc usłużyć polskiéj publiczności nakładem tego dzieła, wydałem je poprawnie i ozdobnie w czterech tomach, mając nadzieję, iż liczni nabywcy poszukiwanéj i pożytecznéj pracy, postawią mnie w możności zajęcia się późniéj powtórném wydaniem Listów apostolskich i prac badawczych Ks. Serwatowskiego, w wykładzie Ksiąg Świętych Starego Przymierza.

WYKŁAD PISMA Ś. nabyć można w Drukarni Wydawcy i w Księgarniach Warszawskich i na prowincyi, po cenie 6 rsr.

J. Unger.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych W szawskich.

W Drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa dnia 18 (30) czerwca 1860 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*

Redakcya przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek.